Nr. 18. Warszawa, dnia 5 Maja (23 Kwietnia) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

FILOZOFIJA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZMIANY OPŁAT KOLEJOWYCH.

Coraz szczegółowsze pogłoski o zmianie systemu opłat kolejowych, chociaż może nie w każdym punkcie odpowiadają istotnym wynikom prac komisyjnych, określają jednakże ich kierunek. Kierunek ten zmierza niewątpliwie do znacznego obniżenia taryfy na przestrzeniach wielkich i do mniejszego na małych. Niedawno podaliśmy tabelkę proponowanej zniżki cen biletów, poczynając od 160 wiorst; obecnie gazety petersburskie donoszą, że wzięto pod rozwagę zupełne zniesienie podatku kolejowego, zapewnienie ulg stacyom, położonym wokoło miast wielkich itd. Zanim odnośna ustawa zostanie wydana, wypada podkreślić te potrzeby, które najwydatniej ujawniły się nam w praktyce.

Pomijamy taryfy towarowe, gdyż na ich układ wpływają różnorodne zasady stałego znaczenia, a zresztą one ulegną najmniejszym przeróbkom i przedstawiają sieć tak powikłanych kwestyj, że na rozsnucie ich w wyczerpującym wywodzie należałoby napisać obszerne dzieło. Zajmie nas więc wyłącznie ruch osobowy. Pomimo że imponująca próba, przedsięwzięta przez Węgry, nie znalazła dotąd naśladownictwa po za Austryą i musi wytrzymywać ustawicznie zarzuty, można to uważać za fakt niewątpliwy, że cena biletów kolejowych jest dla obecnych stosunków za wysoka i że obniżenie jej natychmiast potęguje ilość przyjeżdżających, które pokrywa powstały ubytek. Najlepsze stwierdzenie tego faktu widzimy u nas w ogromnem użytkowaniu z komunikacyi kołowej i to nawet wzdłuż toru drogi żelaznej. Zwłaszcza mniej zamożne klasy ciągle posługują się budami żydowskiemi lub wozami chłopskimi na krótszych i dalszych odległościach, gdyż im to wypada taniej. Ruch ten jest tak ożywiony, że przed paru laty zamierzono wzbronić furmanom przewożenia pasażerów po drogach biegnących równolegle z kolejami — chociaż naturalnie zakaz ten nie został urzeczywistniony, bo urzeczywistniony być nie mógł. Jeżeli tylko ludności uboższej nie chodzi o pośpiech, podróżuje ona w brykach żydowskich, bardzo niewygodnie, ale bardzo tanio. Dodać przytem należy, że wysoką cenę biletów podnosi jeszcze zasada nieuwzględniania przystanków i pobierania opłaty do następnej stacyi. Dzięki temu pasażerom przystankowym doliczane bywa 8—10 kilometrów, których oni nie przejeżdżają a płacić za nie muszą. Ponieważ zaś okolice miast większych są gęsto obsiane takimi przystankami, a ich mieszkańcy są najruchliwsi, oni więc szczególnie dźwigają ciężar tych naddatków. Pierwszą tedy pożądaną reformą, obok zasadniczej obniżki cen biletów, byłoby zastosowanie opłaty do przebytej odległości.

Sezonowe i powrotne już u nas wprowadzono. Przeciwko ostatnim wystąpi ono z dowodem nadużyć popełnianych za pomocą sprzedaży. Nie sądzimy, ażeby podobny handel nie istniał za granicą, ażeby tam również nie zbywano biletów powrotnych. Dlaczegoż one jednak tam się utrzymują? Kolej, pobierając za nie połowę ceny musi brać w rachubę możliwość ich sprzedaży i zysk swój ściąga w dawkach drobniejszych, ale za to liczniejszych. Naszem więc zdaniem bilety z powrotem bezpłatnym powinny być utrzymane stale przez cały rok w niewielkim promieniu około miast ludniejszych.

Różnica ceny biletów pomiędzy klasami jest bardzo duża, bo wynosi dla wyższej dwakroć wziętą normą niższej. Skutkiem tego ogromna większość pasażerów jeździ klasą trzecią. Ponieważ zaś przepaście pomiędzy odmiennymi żywiołami społecznymi są jeszcze tak wielkie, że ich nie może zapełnić najpobłażliwsza wyrozumiałość sąsiedzka, więc często sąsiedzi klasy trzeciej skazani są poprostu na nienawidzenie się wzajemne podczas całej podróży. Jedni są zakłopotani, inni krzywią nosy i plują, patrząc na siebie jak wrogowie. Należałoby więc albo przywrócić klasę czwartą, albo znacznie zmniejszyć cenę biletów drugiej. Nie będziemy tu wymieniali znanych drażliwości, wstrętów i utyskiwań, gdyż każdy albo ich doświadczył, albo je zauważył.

Na naszych drogach żelaznych (wogóle bardzo szczodrych dla stacyj głównych) panuje zbyt wielka przewaga pociągów pośpiesznych, zatrzymujących się rzadko, nad zwykłymi, zatrzymywanymi na wszystkich przystankach. Nie dość tego. Jedna z kolei rozwozi tymi pośpiesznymi pociągami pocztę, która z natury swojej powinna mieć jak najczęstszą możliwość wydawania korespondencyi. Dziwny ten fakt zaznaczaliśmy już wielokrotnie i nie możemy go sobie wytłomaczyć inaczej, tylko niedostrzeżoną pomyłką. Bo przecie jest to chyba jasnem, że jeżeli na pewnych punktach pociągi stają, to poczta nie powinna być powierzana takim, które nie stają i które zmuszają mieszkańców do odbioru listów i posyłek o milę lub dwie i dalej. List zaś nietylko dogadza ciekawości lub sercu, lecz jest także pośrednikiem rozlicznych interesów, z których kolej korzysta. Czemuż więc ona o nie wcale nie dba i opóźnia bieg korespondencyi?

Oto są punkty główne, które możnaby jeszcze uzupełnić wieloma drobiazgami. Prawdopodobnie jeśli nie wszystkie, to przynajmniej niektóre zyskają uznanie we wnioskach komisyi, która zdaje się dość uważnie śledzi potrzeby, długoletniem doświadczeniem uprawnione. Sądząc z pogłosek, o których wspomnieliśmy wyżej, reforma warunków ruchu pasażerskiego będzie dość gruntowną i zapewni mu raczej wiele korzyści, niż szkód. Gdyby tyl-

ko z mnóstwa zamiarów spełnił się jeden— obniżka ceny biletów, już byłby to zysk bardzo poważny i wpływowy.

Z NIEMIEC.

Berlin, 27 kwietnia.

Zjazd historyków niemieckich u lipskich. — Pedagogika i nauczanie historyi. — Nowe metody badania. — Zjazd chirurgów w Berlinie.

Rozpoczął się już szereg zjazdów naukowych niemieckich, stanowiących jedną z cech charakterystycznych, nietylko danego środowiska myśli, ale i całej naszej epoki. Co kilka tygodni w różnych miejscach ojczyny germańskiej odbywają się i w niedalekiej przyszłości zebrać się postanowiły różnorakie stowarzyszenia naukowe i literackie. Tutaj zjazd towarzystwa imienia Shakespeare'a, owdzie imienia Goethego, albo zjazd chirurgów, albo historyków. O ostatnich właśnie napisać dzisiaj nam należy.

Rzecz doprawdy dziwna, jak późno zjazd doroczny historyków niemieckich powołanym został do życia. Wszak nauka historyi niemieckiej jest starą, wszak liczyła śród swoich kapłanów, badaczów prawdziwych, olbrzymów wiedzy i pracy; wszak jeden cały wielki okres umysłowości niemieckiej nosił na sobie cechy historyzmu czy to w historyi ścisłej, czy w prawoznawstwie, czy w ekonomii (Niebuhr, Savigny etc); wszak wreszcie w sprawie zjednoczenia Niemiec historycy odegrali jedną z naczelnych ról. Mimo to jednak dopiero przed rokiem udało się pokonać wszelki opór partykularystyczny, różne ambicye osobiste i polityczne i zebrać wielką ilość profesorów uniwersyteckich, nauczycieli gimnazyalnych i badaczów prywatnych do Monachium na wspólną biesiadę. Świadomość konieczności porozumienia się co do organizacyi pracy archiwalnej, metody badań, wydawnictwa źródeł istniała już dawniej i ciągle objawiała się w osobistych życzeniach; dopiero jednak zewnętrzny bodziec nadał takiej świadomości tyle siły, że — zjazd przyszedł do skutku. Było to mianowicie wkrótce po mowach Wilhelma II, w których on zamierzał poddać naukę historyi wogóle i wykłady tego przedmiotu w szkołach średnich gruntownej reformie. Żądał mianowicie, a warto sobie przypomnieć te szczegóły, ażeby nauczanie historyi odbywało się z wyraźną polityczną tendencyą, ażeby rozpoczynało się nie, jak dawniej, od przeszłości, ale postępowało w odwrotnym porządku. „Od Sedanu i Sadowy prowadźcie uczniów swoich do Termopylów i Salaminy“ — wołał reformator królewski. Nie trzeba być ani specyalistą, ani historykiem, ani pedagogiem, ażeby zrozumieć z tych kilku wyrazów, ile mieści się w nich nie reformy, ale poprostu przewrotu rewolucyjnego. Jakkolwiek historyografia niemiecka bynajmniej nie uważała sobie za obrazę nadawania owej pracy wybitnego charakteru politycznego — Gervinu, Treitschke — to jednak tutaj jasno zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie grozi szkole narodowej i odpowiedziała w osobach najwybitniejszych swych pedagogów i historyków jednogłośnym protestem. Zrozumiano także, że chodzi nie tylko o wykład, ale i o naukę samą, o jej cele, śród których jaśnieje jeden najświetniejszy, „prawda“, a który przy politycznym lub dyplomatycznym stanowisku historyka podstawy swego istnienia zatracićby musiał zupełnie. Gdy więc kilka energiczniejszych jednostek silniej i dobitniej zażądało wiecu — zjechano się. Program był sam przez się jasny. Przedewszystkiem należało rozpatrzeć naukowo i odeprzeć narzucane z góry projekty. Na drugim planie stały różne kwestye metodyki historycznej: wykładów w uniwersytecie, urządzenia seminaryów, korzystania z archiwów państwowych itd. Pierwszy też zjazd nosił—podkreślam—ten wybitny charakter nie-pruski. Inicyatywa jego wyszła od grona historyków austryackich i południowo-niemieckich, którzy i w obradach samych przyjmowali udział największy. Jak zauważono w Monachium, „historyografowie pruscy w zimnej swej pysze, równającej się wyniosłości lodowca“ („in gletscherhafter Erhabenheit“), nie uważali za godne swych stanowisk zajmowanie się kwestyami podrzędnej, bo czysto praktycznej natury. Kilku zaledwie znalazło się w tej rzeszy historyków z uniwersytetów północnych: Lamprecht i Arnd z Lipska, Prutz z Królewca — oto wszystko. Pomimo to obrady były bardzo poważne i rezultaty niezwykłe. Protest wypowiedziany jednogłośnie i jednomyślnie przez kilkuset badaczów nie przebrzmiał bez echa w narodzie i musiał wywrzeć wpływ bezwzględnie dodatni. Prócz tego stworzył już pewną tradycyę wieców historycznych, pewien w takich razach wybitnie ważny prejudykat, w myśl którego łatwiej było w roku bieżącym zjechać się w Lipsku. Przeniesiono więc punkt ciężkości tam, gdzie zbiegają się w epoce naszej wszystkie nici życia narodowego niemieckiego na północ. Zobaczymy, jak charakterystycznie ujawniła się ta różnica miejsca w poglądach nie naukowych, ale ludzkich śród uczestników zjazdu. Inny już duch spoczywał śród biesiadujących.

Program zebrania tegorocznego wiązał się organicznie z kwestyami, które rozważano na zjeździe pierwszym. Pod względem pedagogicznym szedł w ślad za obradami zeszłorocznemi, gdy bowiem wtedy mówiono o ukształtowaniu nauczania historyi w szkole średniej pruskiej, oddano dzisiaj pod obrady członków sprawę stanowiska historyi starożytnej w programie gimnazyalnym. Co do samej nauki, rozpatrzono projekty ujednostajnienia organizacyi badań, które wskutek panującej dzisiaj specyalizacyi przedmiotu i metod grożą zupełnym rozbratem między sobą. Były to mniej więcej dwie główne osie, wokoło których toczyły się rozprawy. Można powiedzieć nawet, że pierwsza z nich była główną, cały wstępny dzień obrad jej poświęcono, tak iż wielu bardzo uczestników wypowiedziało życzenie, ażeby przyszłe zjazdy były więcej historyczne, a nie pedagogiczne. I tym razem osiągnięty rezultat jest ważnym nietylko, być może, dla nauki niemieckiej, ale dla wszystkich wogóle społeczeństw, które bądź to hołdują wychowaniu klasycznemu, bądź to wyrzekają się go i ratunek swój widzą w kształceniu realnem, materyalistycznem, wymienianem natychmiastowo na monetę korzyści i zarobku. Zjazd zgodził się mianowicie i uchwalił, że przeniesienie nauki autorów klasycznych i historyi starożytnej na plan drugi zmniejsza „zmysł historyczny“ wogóle. Tezę tę przyjęła ogromna większość kongresu i w tym po raz wtóry i tak silnie wyrażonym oporze przeciwko regulaminowi rządowemu spoczywa najważniejsza zasługa pedagogicznego działu obrad tegorocznych.

W dziedzinie badań specyalnie historycznych zauważyć się daje od pewnego czasu zwrot stanowczy. I tutaj dotarły nowe poglądy, nowe metody, nowe cele. Coraz jaśniej i wyraźniej odwraca się młoda szkoła dziejopisów od metody Rankego, wyłącznie prawie przerabiającej polityczno-dyplomatyczne opowieści i szuka sprężyn życia historycznego głębiej nieco, niż w sztuce redagowania lub odwoływania depesz ministeryalnych, takiego lub innego korzystania z położenia politycznego itp. — a mianowicie w stosunkach ekonomicznych, w otoczeniu tych wszystkich powiązanych, złożonych, niezawsze jasnych czynników, które składają się w swym całokształcie na pojęcie kultury. Zamiast więc suchej i niemej zupełnie chronologii i drobiazgów, otrzymujemy na pierwszym planie dzieje ekonomicznego i administracyjnego ustroju w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. Zasada ta wcieliła się już po-

---

3)

JAKO CIEŃ.

przez

Waleryę Marrené Morzkowską.

Od czasu do czasu przychodziła pani Narczyńska zobaczyć, co robi córka. Od bramy zaraz ostrzegało nas o tem gwałtowne ujadanie Kruczka, który jej cierpieć nie mógł. Wtedy panna Eliza siadała na najbliższej ławce, siostry moje uciekały lub zabierały się do jakiejbądź roboty, a ja kryłem się w najdalszy kąt ogrodu.

Pani Narczyńska szła majestatycznie wybierając szersze ścieżki, zamiatając je suknią i upatrując córki. Eliza całowała ją w rękę, a ona zapytywała niezmiennie.

— Cóż? Jakże się czujesz?

— Dobrze mamo, doskonale. Powietrze mi służy.

Pani Narczyńska pytała jeszcze, czy jej czego nie potrzeba. Siedziała chwilę na ławce, odchodziła powolnym krokiem, znów odprowadzana szczekaniem Kruczka. Panna Eliza potem przez czas jakiś zostawała na ławce nieruchoma, ze spuszczonemi powiekami.

Nie śmiałem zapytać o powód, ale przychodziło mi na myśl gadanie służących.

Raz wreszcie wziąłem na odwagę i jakby nie domyślając się niczego, wyrzekłem:

— Czy panią głowa boli?

— Nie. Dla czego?

Wiedziała dobrze, dla czego to mówiłem, tylko udawała, że nie wie.

— Bo pani posmutniała.

Zarumieniła się i probowała pokryć zmieszanie.

Wreszcie dnia jednego takeśmy się zapracowali, czy też pani Narczyńska weszła tak cicho, że nie słyszeliśmy nic wcale.

Ja bardzo poważnie przy wyciągniętym na grzędzie sznurze robiłem głębokie dołki za pomocą kołka, panna Eliza wkładała w nie flance, które Józia ogrzebywała ziemią, a Kasia zlewała wodą.

Panna Eliza, ażeby nie powalać sukienki, opasała się grubym fartuchem, ale białe jej rączki były całe powalane ziemią, i nie wiem jakim sposobem aż na twarz się tej ziemi dostało. Śmiała się przytem z całego serca i przekomarzała z nami, dowodząc, że lepiej się zna na flancowaniu od nas wszystkich i że mój ojciec z pewnością tak osądzi.

Nagle padły wśród nas ostre wyrazy.

— Elise! Elise! Dieu puissant!

Głos pani Narczyńskiej podziałał na nas jak wzrok meduzy. Eliza nawet nie ruszyła się z miejsca i pozostała tak, jak była na klęczkach, z oczami rozszerzonemi przestrachem.

Pani Narczyńska choć była tak rozgniewana, że aż jej wargi drżały, zbliżyła się do niej ostrożnie, by nie powalać fularowej sukni i pantofelków z żółtej skóry. Lękała się dotknąć córki, bo miała świeżutkie duńskie rękawiczki, zaczęła więc coś do niej mówić po francuzku, bardzo surowo.

Biednej pannie Elizie łzy stanęły w oczach. Podniosła się z wolna, odpasała fartuch, który opadł na ziemię, bo nie śmiała

niekąd w życie od czasu, jak znakomity historyk lipski Karol Lamprecht rozpoczął wydawnictwo swej na siedem tomów obliczonej „Historyi Niemiec.“ Tutaj należy także i nieskończone dzisiaj jeszcze prace Inama-Sternegga, Gotheina, Belocha i niewielu innych uczonych, niekoniecznie młodszych wiekiem, ale metodą jedynie rozumną, ścisłą, naukową. Praca podobna, a przynajmniej rozumienie jej konieczności, musiało wywołać pewne zmiany w organizacyi badań, a przedewszystkiem musiało powołać do życia szereg instytucyj naukowych, rozrzuconych po szczegółowych terytoryach niemieckich, które stanowiły niegdyś środowiska kultury własnej, a później dopiero złączyły się w łańcuch ogólno-niemieckiej. Istniejące już dawniej „Towarzystwa historyczne“ w prowincyach nadreńskich, w Prusach wschodnich i zachodnich, dla Szlązka i Saksonii itd. zorganizowane zostały trwalej bądź to przez nadanie im kierowników w osobach wybitnych uczonych, bądź to przez stworzenie wydawnictw, w których badania odnośnych towarzystw drukowaćby się mogły itp. Zdawano też na zjeździe sprawę ze stanu badań naukowych w różnych częściach Niemiec dzisiejszych. Prof. Zwiedeneck-Sudenhorst mówił o historyczno-terytoryalnem badaniu Styryi, dr. Hansen o tem samem dla prowincyj nadreńskich, prof. Prutz — dla Prus, dr. Markgraf — dla Szlązka. W zakończeniu Lamprecht zaznaczył, że obecnie współpracownicy dążą do ujednostajnienia badań w miejscowościach rozrzuconych po wielkim obszarze kultury niemieckiej, do stworzenia jedności w tych zamiarach i metodach. Jako illustracyę nietylko pobożnych zamiarów, którym przyklasnąć może i powinien cały świat zajmujący się badaniami historycznemi, ale poniekąd i czynu, ofiarował zjazdowi prof. Schmoller swój odczyt, w którym mówił o „Der preussische Beamtenstaat des XVI bis XVIII Jahrhunderts.“

Reszta obrad, wniosków i rozpraw nie posiada dla nas tyle, co poprzednie, naukowego i publicystycznego interesu. Były one albo zbyt specyalne, jak np. referat prof. Stiere'go, dotyczący organizacyi pracy archiwalnej, albo zbyt miejscowe, jak np. wydawnictwa sporządzone dla zjazdu. Postanowiono zjechać się w roku przyszłym w Marburgu.

Zapowiedzieliśmy z góry, że zjazd „lipski“ różnił się od „monachijskiego“ tak dalece, że stworzył sobie specyalną fizyognomię; a ponieważ wypadki, o których powiemy niżej, zdarzyły się w samym końcu obrad, nie zostały więc zatarte żadną późniejszą mową lub toastem. Oddajemy głos tutaj historykowi niemieckiemu, sądząc, że jest tak wymownym, że wszelkie od nas dodane wyjaśnienia osłabić by mogły tylko siłę słów jego. „Szczęśliwy traf zrządził, że zjazd mógł święcić wraz z narodem niemieckim rocznicę urodzin tego, który stworzył historyę, a tem samem dał historykom największy i najsilniejszy bodziec do tego, ażeby się uważali za dziejopisów narodowych. Ofiarowano zjazdowi program wydawnictwa, które zacznie wychodzić w r. 1895-ym, a które na wzór (znanego zresztą i u nas) „Goethe-Jahrbuch“ obejmie wszystko, co się wiąże z życiem Bismarka: *Bismarck Jahrbuch*. Było więc zrozumiałym obowiązkiem, ażeby zjazd przesłał największemu mężowi niemieckiemu bieżącego stulecia, który nadto w charakterze autora wykończonych już „Pamiętników“ swoich wszedł do cechu historyków, pełne zapału pozdrowienie czołobitne do Friedrichsruh, jako wyraz wdzięczności, do której poczuwają się historycy niemieccy względem niego.“ Wdzięczność była tak głośną, że musiano złagodzić nieco wrażenie, jakie wywołać mogła za pomocą wysłanych depesz wiernopoddańczych pod adresem cesarzów niemieckiego i austryackiego. Taki był ostatni akord historycznej symfonii lipskiej.

W ostatnim tygodniu odbywał się w Berlinie doroczny „Zjazd chirurgów niemieckich“ (XXIII). Nie wspominalibyśmy o nim na tem miejscu, gdyż przedmioty jego obrad są tak specyalne, tak nieprzystępne, że z czytelników naszych najdrobniejszą tylko ich garstkę zająćby potrafiły. Ci zaś u innego źródła wiadomości takich zaczerpnąć potrafią. Zaznaczam więc tylko wyrazy hołdu, jakie złożono zostały pamięci zmarłego niedawno Billrotha. W długiej, półgodzinnej przemowie opowiadał Esmarch, nestor chirurgów niemieckich, o zasługach zmarłego nietylko w chirurgii, ale i na polu zasług społecznych. Nakreślił on obraz nietylko genialnego operatora i uczonego, ale i człowieka, który wszędzie, w uniwersytecie i u łoża nędzarza umiał rozwijać kielich kwiatowy serdecznego idealizmu, zwracając go zawsze ku słońcu miłości, prawdy, poezyi, ideału. Rzuciło mi się w oczy to właśnie zjawisko, że cechy podobne zaznaczono dobitnie śród chirurgów niemieckich i dla tego podkreślam je na tem miejscu.

Zen. Por.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Od pewnego czasu dzieją się w Serbii rzeczy, o których chyba nigdy nie śnili filozofowie polityczni. Po tylu broszurach, kłótniach publicznych i wzajemnych oskarżeniach, rodzice młodego króla zapragnęli zgody i unieważnienia rozwodu. To byłoby jeszcze nic, ale Milan, który formalnie za wypłaconą mu sumę sprzedał wszystkie swoje prawa, nie wyłączając ojcowskich i obywatelskich, powrócił do kraju, odzyskał sobie te prawa i — co najważniejsza — po wyjeździe syna ma objąć regencyę. Pomijając moralną stronę całej tej operacyi, warto zastanowić się nad polityczną. Partya radykalna, będąca dotychczas przedstawicielką ogromnej większości narodu, nie zrzekła się ani walki, ani nadziei zwycięztwa. Łatwo dostrzedz, że Milan swojem postępowaniem dostarczył jej bardzo niebezpiecznego oręża, którego skuteczność okaże się prędzej, czy później. I tym razem więc ex-król pamiętał wyłącznie o sobie, a zapomniał nawet o tym, któremu wysoce utrudnił zadanie odpierania fal radykalnych.

Dwie sprawy dolały oliwy do ognia, wiecznie płonącego w sejmie pruskim: kwestya izb rolniczych, z których ma spłynąć nieco balsamu na rany stanu ziemiańskiego oraz ustawa, dotycząca ustroju gmin protestanckich a rozszerzająca prawa synodów. Ten ostatni projekt (przyjęty znaczną większością) wywołał mocną opozycyę ze strony liberałów, którzy w nim widzą krok wsteczny. Wystąpienia ich wszakże pozostały bez wpływu na uchwałę.

Z osobą Bismarka tak zrosło się pojęcie szorstkości, wyzucia z wszelkich uczuć i braku najlżejszych drgnień sentymentalizmu, że stary kanclerz nie bywa w żadnej roli zabawniejszym, jak w roli miękiego marzyciela i poety. Niedawno przyjmował on znowu deputacyę dam, do których przemawiał tak rzewnie, że czytając smętną lirykę, niepodobna wstrzymać się od spazmatycznego śmiechu Bismark zapewniał swoje słuchaczki, że teraz dopiero czuje się w swoim żywiole, że serce jego w samotni wiejskiej napawa się ciepłem innych serc przyjaznych, że będąc ministrem doznawał tylko chłodu, wiejącego od dusz zamrożonych i wtedy właściwie był samotnym. Przez całe życie pragnął miłości, tkliwych wzruszeń, a spotykał tylko intrygę i skrytą złość. Oddawna pragnął on

---

go oddać Kasi i poszła za matką jak na ścięcie. U furtki dopiero obejrzała się na nas, pogłaskała Kruczka, który jakby czuł, że już ona tu więcej nie wróci, skomląc do niej się łasił.

I już więcej nie widzieliśmy jej w ogrodzie. Znowu siadała w oknie z założonemi rękami, a gdy nie było nikogo w pokoju, posyłała nam od ust ukłony, których lękaliśmy się oddać, by kto z drugiego okna nie podpatrzył.

Wydawała nam się więźniem. Ojciec mój, człowiek prosty, ale rozumny, który ją bardzo polubił, kiwał tylko głową i mówił:

-- Tak dziewczyny trzymać nie można. Niechby się uczyła, bawiła, za mąż szła, pracowała. Czemś koniecznie żyć trzeba.

Widać miał słuszność.

Raz matka spotkała na ulicy panią Narczyńską z Elizą i użalała się przed nami.

— Nasza panienka pobladła jak płótno, u nas wyglądała niby różyczka. Przecież jej tam w domu na niczem zbywać nie może. Inne panienki są wesołe i raźne, a ona szła jak martwa. Czegoż jej braknie?

A ojciec odpowiadał:

— Jeden człowiek będzie jak ten kwiat, co to wszędzie, gdzie go posadzisz, bujnie wyrośnie, a innemu trzeba dogodzić, bo zmarnieje.

Dziewczyna marniała w oczach. Już nawet nie próbowała przebierać swojem szydełkiem. Ot, tak tylko, robota leżała jej na kolanach.

Piątego lipca były imieniny panny Elizy. W wigilię jeszcze upatrzyłem chwilę, gdy pani Narczyńskiej w domu nie było, zebrałem koszyczek najpiękniejszych czereśni, Kasia i Józia ustroiły go różami i chyłkiem, jak gdybym robił co złego, pobiegłem naprzeciwko.

Gdy panna Eliza zobaczyła mnie przed sobą, niespodzianie, bo umyślnie wszedłem przez kuchnię, zerwała się cała różowa.

— Ant... Pan Antoni! — zawołała, poprawiając się nagle.

— Przyszedłem pani powinszować...

Nie wiedzieć czemu miałem głos tak zdławiony, żem sam jego brzmienia nie poznawał... Coś mnie w gardle ściskało.

— A oto czereśnie z tego drzewa, pod którem stoi ławeczka. Pamięta ją pani...

— Z naszego drzewa.

Nie powiedziała nic więcej, ale ręce, które po koszyk wyciągnęła, drżały, jakby w febrze.

Była chwila ciszy. Potem przypomniała sobie nagle, że coś powiedzieć należało.

— A pan? — spytała, podnosząc na mnie czarne oczy, w których grały blaski nagłe.

— Ja — odparłem, prostując się dumnie — skończyłem szkoły, wybieram się do politechniki. Obaczy pani, jeszcze ja wyjdę na ludzi.

Chciałem być wesoły, ale gdym na nią patrzył, wesołość moja zamierała.

— Jak powrócę...

— A kiedy pan wróci?

— Czy ja wiem. Ojczysko dawno zbierał pieniądze na moją naukę, ja też nie chciałbym go nic kosztować.

— Kiedy pan wróci?..

— Może za trzy, może za cztery lata.

Zdawało mi się, że pobladła.

— Gdy powrócę, panno Elizo, pani już pewno będzie za mężem — mówiłem, chcąc także przerwać milczenie, które nas ciągle opanowywało.

Wstrząsnęła głową.

— Gdy pan wrócisz, zastaniesz mnie za-

zrzucić ze swych bark nieznośne brzemię urzędu, ale ciągle ulegać musiał gorącym naleganiom monarchów, ażeby pozostał. Takim był Bismark!

Zdaje się, że francuzi złapali już wszystkich anarchistów, którzy urządzili głośniejsze zamachy dynamitowe. Dotąd wszakże osądzili tylko (na śmierć) Henry'ego, który rzucił bombę w kawiarni „Terminus."

Dzień 1 maja prawie w całej Europie przeszedł spokojnie. Tu i owdzie tylko robotnicy, przerwawszy pracę, zebrali się w większe zgromadzenia, które jednak nie wywołały starć z policyą. Zebranie takie w londyńskim Hyde Parku rzuciło się tylko na anarchistów, których rozpędzono.

Grecyę nawiedziła straszna klęska trzęsienia ziemi. Ilość zdruzgotanych domów jest poważna, a i ofiar ludzkich nie brak. Trzęsienie objawiło stę dwukrotnie i zwłaszcza w niektórych prowincyach sprawiło straszne spustoszenia.

BADANIA NAUKOWE.

Z POWODU 60-LETNIEGO JUBILEUSZU
ERNESTA HAECKLA.

W Jenie przed kilku tygodniami obchodzono uroczyście sześćdziesięcioletni jubileusz Ernesta Haeckla. Któż nie zna nazwiska tego znakomitego zoologa, któryż z wykształconych czytelników nie korzystał z jego „Dziejów utworzenia przyrody," „Królestwa pierwotniaków" lub z innych prac popularnych, bądź napisanych przez niego samego, bądź traktujących o jego teoryach?

E. Haeckel urodził się 16 lutego 1834 r. w Poczdamie *), jako drugi syn nadradcy rządowego, który miał wielkie zamiłowanie do geografii i pozostawał w stosunkach osobistych z wielu ówczesnymi geografami niemieckimi. Matka Ernesta, z domu Gethe, zdołała wpoić w syna zamiłowanie do przyrody, zwłaszcza zaś do botaniki, którą, jako młody chłopak, bardzo gorąco się zajmował. Dla matki też żywił Haeckel nadzwyczajną miłość i nawet poświęcił jej pamięci niektóre dzieła.

Ukończywszy gimnazyum w Merseburgu, dokąd rodzice jego się przenieśli, pomimo zamiłowania do botaniki, obrał sobie za przedmiot studyów uniwersyteckich medycynę, a to głównie w tym celu, aby módz następnie, jako lekarz okrętowy, odbywać podróże do różnych odległych i mało znanych krajów.

Rozpoczął studya w r. 1852 w Berlinie, dokąd i rodzice się przenieśli; najbardziej pociągającymi były tu dlań wykłady botanika A. Brauna; pomiędzy uczniem a profesorem zawiązał się też bardzo serdeczny stosunek. Wkrótce przeniósł się Haeckel do Würzburga, słuchał tu przez trzy semestry wykładów dwóch znakomitych zoologów, Köllikera i Leydiga, a następnie powróciwszy do Berlina, zapisał się w poczet uczniów najsławniejszego ówczesnego biologa, Johannesa Müllera, który wywarł ostateczny wpływ na kierunek dalszej jego pracy. W r. 1854 wyjechał młody uczony ze swym mistrzem na wyspę Helgoland, gdzie Müller zajmował się badaniem t. zw. fauny pelogicznej (tj. zwierząt, żyjących na lub blizko powierzchni morza); tutaj młody zoolog po raz pierwszy spotkał się z nieprzebranem bogactwem fauny morskiej, której poświęcił tak znaczną część swego życia. W r. 1855 powraca Haeckel do Würzburga, gdzie zostaje po roku asystentem Virchowa, ogłaszając w jego archiwach pierwszą swą pracę naukową z dziedziny anatomii („Ueber die Plexus chorioidei"). W dwa lata później otrzymuje stopień doktora medycyny, po ogłoszeniu rozprawy o tkankach raka rzecznego. Medycyna nie była jednak celem jego studyów; od czasu zetknięcia się z Müllerem był on zdecydowanym zoologiem. W owych czasach nie było jeszcze w biologii tak wielkiego zróżnicowania i podziału pracy, jak obecnie, wskutek czego zoologii, a zwłaszcza anatomii porównawczej nie oddzielano po większej części jako nauki samoistnej od anatomii, jako przedmiotu studyów lekarskich. To nam właśnie tłomaczy, dlaczego wszyscy dawniejsi lub dziś żyjący starsi zoologowie poświęcali się medycynie. Dziś natomiast zoologia i anatomia porównawcza są głównymi przedmiotami przyrodoznawstwa.

Jako młody lekarz, nie myślał więc Haeckel o praktyce, lecz zajął się całkowicie zoologią.

W r. 1858 ożenił się z kuzynką swoją, z którą przeżył tylko półtora roku, śmierć bowiem wcześnie mu ją wyrwała.

Odbywszy podróż naukową po morzu Śródziemnem, habilitował się Haeckel w Jenie za radą swego najserdeczniejszego przyjaciela, Karola Gegenbaura, a wkrótce został tamże profesorem zwyczajnym. Odtąd kilkakrotnie powoływano go na katedry do Würzburga, Bonn, Wiednia i Strassburga, ale zawsze odmawiał, albowiem spokój małego miasta, możność bezpośredniego tu stykania się z piękną przyrodą i skupiania się duchowego zniewalały go do pozostawania w Jenie.

W r. 1859 zjawiło się słynne dzieło „O powstawaniu gatunków." Idee wielkiego naturalisty angielskiego wywarły ogromne wrażenie na umysł młodego zoologa, który stał się też wkrótce najgorętszym wielbicielem Darwina i jego teoryi. Odtąd wszystkie jego prace naukowe oraz popularne pozostawały w większym lub mniejszym związku z teoryą descendencyi. Pierwsze a gorące uznanie dla darwinizmu wyraził on w wielkiem swem dziele p. t. „Monographie der Radiolarien" w r. 1862. Radiolarye są to ustroje mikroskopowe, należące do pierwotniaków i żyjące przeważnie w morzach. Zwierzęta te przedstawiają nieprzebrane bogactwo postaci, zwłaszcza pod względem szkieletów; bogactwo to odsłonił Haeckel w swem dziele, którego rozmiary oraz ogromna ilość tablic rysunków, z zadziwiającym talentem artystycznym wykonanych przez autora, sprawiają imponujące wrażenie.

W r. 1866 zjawiła się znakomita praca Haeckla, „Generelle Morphologie der Organismen," w dwóch wielkich tomach. Tu przedstawia on całość morfologii zwierzęcej ze stanowiska teoryi descendencyi i doboru naturalnego. Było to, że tak powiem, zastosowanie darwinizmu do anatomii porównawczej, embryologii i zoologii systematycznej.

Jedną z najważniejszych idei, jakie Haeckel ugruntował we wspomnianem dziele jest t. zw. „prawo biogenetyczne." Nie był on twórcą tej idei, albowiem już przed nim wygłosili je trzej inni badacze: Kielmeyer, E. K. v. Baer i Fr. Müller. Wszelako nikt nie rozwinął tak wszechstronnie tej zasady, nikt nie przeprowadził jej z taką konsekwencyą i tak szczegółowo, nikt nie wskazał tak wyraźnie doniosłości jej dla morfologii zwierzęcej. Zasada ta głosi, jak wiadomo, że rozwój osobnikowy czyli ontogenia jest krótkiem powtórzeniem czyli rekapitulacyą rozwoju rodowego, inaczej filogenii. Haeckel starał się bliżej określić, w jakich granicach zasada ta może być stałą i w jaki sposób tłomaczyć sobie mamy odstępstwa od niej.

*) Dane, dotyczące życia Haeckla, czerpiemy z życiorysu, umieszczonego w ostatnim marcowym (12) numerze *Naturwiss. Wochenschrift.*

---

wsze w tem samem oknie, z szydełkiem albo igłą w ręku. Tylko że ja już żyć nie będę — dodała z dziwną energią w głosie.

— Co też pani wygaduje! — zawołałem. Skądże pani myśleć o śmierci...

Przycięła usta i spojrzała na mnie oczami, które w tej chwili wydały mi się prawie czarne, jasne jej brwi zbiegały się nad nosem i nadawały rysom wyraz zaciętości, nielicujący z zaokrągleniami młodziutkiej twarzy.

Pozostała tak z pochylonem czołem, blednąc coraz bardziej pod wrażeniem myśli.

— Ale pan jeszcze nie jedziesz? — spytała nagle — prawda?..

Wybierałem się z kolegami na pieszą wędrówkę po kraju. Było nas sześciu i mieliśmy zwiedzić Ojców, Chęciny, góry Świętokrzyzkie. Przyszedłem ją pożegnać na parę miesięcy.

Gdym o tem mówił, oczy jej naprzemian mgliły się, błyszczały, płonęły.

— Jaki pan szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy — szeptała.

Prawda, byłem szczęśliwszy od niej. Wycieczka cieszyła mnie bardzo. Żal mi było panny Elizy. Ale cóż jej mogłem poradzić!

Teraz ona zdawała się zapominać o mnie, zaplotła ręce nad głową i przechadzała się szybkim, nerwowym krokiem po szczupłym pokoju. Myśli, pragnienia, żądze, tłoczyły się do jej głowy, widziałem to po oczach, które zdawały się nie widzieć najbliższych przedmiotów, po drgających nozdrzach, po ustach rozchylonych, z których wyrywał się chwilami bezwiedny okrzyk: oo!.. oo!..

Gdy tak przebiegała pokój, przypomniała mi ptaka zamkniętego w klatce, co się o jej ściany rozbija.

— Panno Elizo... panno Elizo! — wołałem.

Usłyszała mnie dopiero po chwili, jakby myśl jej wracała z oddalonych przestrzeni i podała mi rękę jak lód zimną, chociaż dzień był upalny.

W pokoju przyległym dały się słyszeć kroki. Uciekłem spłoszony, unosząc w oczach jej obraz, w uszach okrzyk stłumiony, którym zdawała się wypowiadać wszystkie bunty i bóle.

Obraz i głos pozostały mi w duszy na zawsze, a niekiedy zjawiają się w pamięci, jak widma w słoneczną godzinę, gdy świat zda się drgać życiem, albo w ciszy rozkosznego wieczoru, albo w blaskach letniego poranku. Widzę ją wówczas z zaplecionemi nad głową rękami, z bujnym włosem, spadającym na blade czoło, z ogniem w oczach, jak wówczas po raz ostatni.

Gdym wrócił z wakacyjnej wycieczki, pani Narczyńska wyprowadziła się z mieszkania, z którego zniknęła jej córka, a dopiero w parę dni ciało topielicy Wisła na brzeg wyrzuciła.

Nikt nie mógł pojąć, co popchnęło biedną Elizę do rozpaczliwego kroku. Wszak w młodem jej życiu nie było żadnej katastrofy. Wszakże jej niczego nie brakło...

Przeszła jako cień i jak cień nic zostawiła po sobie pustki żadnej.

KONIEC.

Inną wielką jego zasługą było ścisłe wyróżnienie coraz wyższych jednostek morfologicznych i fizyologicznych i wykazanie, że ustrój bardziej skomplikowany jest zbiorem jednostek morfologicznych coraz niższego rzędu.

W r. 1866 w drodze do wysp Kanaryjskich zatrzymał się Haeckel przez dłuższy czas w Anglii i miał sposobność zawiązania ścisłych i serdecznych stosunków z trzema znakomitymi przyrodnikami angielskimi: Darwinem, Huxley'em i Leyll'em.

W następnym roku, po powrocie z podróży, wstąpił po raz drugi w związki małżeńskie, poślubiwszy Agnieszkę Huschke, córkę znanego anatoma jenajskiego. Z tego małżeństwa ma troje dzieci, z których syn jedynak, Walter, jest zdolnym malarzem.

(D. n.).

Dr. H. T. Rozicki.

LITERATURA I SZTUKA.

„NAJMŁODSI.“

III.

Pewien antropolog straszy dzisiejszych rodziców, iż dalecy potomkowie będą wyglądali bardzo śmiesznie. Symetrya naszego organizmu zostanie zepsutą: prawa strona tułowiu z odpowiedniemi kończynami rozwinie się z uszczerbkiem lewej, natomiast czaszkę oczekują przeciwne losy. Ale cokolwiek powiemy o tym przepowiadanym prawnuku, jedno jest rzeczą pewną, mianowicie że on sam będzie uważał siebie za najpiękniejszy twór przyrody. Istota ludzka zawsze i wszędzie uwielbiała to, co widziała w sobie: swoje własne cechy wcielała w różne bałwany i zginała przed nimi korne czoło. I „najmłodsi.“ występując z tak niedołężną formą i wyprowadzając na jaw takie dotknięte niemocą postacie, są pełni animuszu. Przynajmniej niektórzy w swojej subjektywnej zaciekłości sądzą, że przed ludzkością odsłaniają zgoła nowe widnokręgi. Ktoś do swego zbiorku dołączył przedmowę (zresztą są w niej ustępy lepsze, niż w książce, dowodzące, że ów młody umysł jest może rozczochrany, lecz jednocześnie odważny i energiczny). „W powieści doby obecnej — czytamy tam między innemi — uderza szczególnie usiłowanie przedstawienia życia nie jak je odczuwamy, ale jakiem ono jest niezależnie od naszych uczuć... To, zdaniem mojem, jest głównym jej błędem, wymagającym od nowej doby sprostowania.“ „Zdajmyż sobie sprawę, czem w przybliżeniu może być świtający okres w literaturze w stosunku do przeżytej szkoły; uogólnić go można mówiąc, że będzie zupełną jej reakcyą, zbudzeniem skrzywdzonego indywidualizmu, uprawnieniem podmiotowości ludzkiej po przesądnej czci dla pseudo-objektywności, buntem potęgi wewnętrznego życia przeciw pospolitości nieożywionego faktu... Że nowa ta doba, chcąc zaspokoić wzrastające codziennie pragnienia inteligencyi, wymagać będzie innej twórczości i nowej formy, to jest faktem niewątpliwym... Że ta nowa faza będzie smutna, negatywna i zrozpaczona, że będzie wyznawczynią pesymizmu filozoficznego, tego za błąd jej przyszłość bezstronna nie poczyta.“ Nie jesteśmy zwolennikami sekciarskich klik w estetyce: używaj jakiej chcesz metody, przedmiotowej lub podmiotowej, bądź naturalistą lub psychologiem, lecz pisz tak, aby twoje obrazy pozostawiły trwały ślad w sercach i umysłach ludzkich — oto jest jedyna nasza zasada! Z tego powodu jesteśmy przeciwnikami wszelkiej propagandy szablonu szkolarskiego i nie możemy cierpliwie przypatrywać się, jak ktoś ze swego „ja,“ z jego urojeń, majaczeń i błędów zrobił cielca i przed nim pali kadzidła, wystawia go dla wszystkich czasów i od innych żąda, ażeby czynili to samo. Swoją drogą ten, czyje wyznanie wiary przytoczyliśmy wyżej, posiada słuszność najzupełniejszą. Dzisiejsza bowiem chwila dziejowa zaczyna stwarzać nową formę twórczości beletrystycznej — podmiotową. Kiedy twierdzi, że to świeżo zniesione jajo jest ostatecznem ogniwem piękna i rozumu, możemy puścić wodze naszemu humorowi nad tem zaślepieniem. Ale bądź co bądź winniśmy zgodzić się, że taką jest najwybrańsza forma nadciągającej przyszłości. Czy owoc będzie zdrów i obfity, rzecz inna; inna zaś, że drzewo teraźniejszości pokrywa się tego rodzaju płodem. Zwróćmy się chociażby do literatury skandynawskiej. Talenty są tam innej miary, niż nasze, ale duch tego samego kalibru, subjoktywno-analityczny. Naturalnie, mówię o najmłodszem pokoleniu. I gdzieindziej upowszechnia się forma podmiotowa. Te same monologi i duety, ta sama jaźń spowiadająca się, ta sama wreszcie zamiana przedmiotowego otoczenia na martwą dekoracyę! A takie ogólne zjawisko musi posiada powody dostatecznej mocy. Jakie — na tem właśnie zatrzymamy się, zagadnienie zaś to rozpatrzymy już w zakresie całej obecnej cywilizacyi.

Jeden obraz z przeszłości staje mi przed oczyma. Rynek miasteczka zawalony wozami, tłumy włościańskie w stroju ludowym, pełno straganów z „koralami,“ mosiężnymi pierścionkami i medalionikami. Z kościoła wylewa się lud, w przeciwległym rogu rynku gra katarynka, rozstrojone jej dźwięki drgają w gorącem powietrzu czerwcowego południa. Życie płynie gwarnym potokiem: starzy gawędzą, młodzież zbiera się przed karczmą, widząc, że niebawem rozpoczną się tańce. Każdy zna tam niemal, każdego. Gdybyśmy którego z tych kmotrów obdarzyli talentem powieściopisarskim, otrzymalibyśmy od niego utwór pełen życia, w formie przedmiotowej, niekiedy tryskający wesołym humorem, czasami skropiony łzami smutku, lecz wrażliwy na troski innych — względnie. Autor nie filozofowałby na temat, że pożarł on wszelką mądrość i że szablon jego pisarski jest doskonałością nad doskonałościami. A teraz przenieśmy się do innego zakątka. Park wielkomiejski, podobnie skąpany w promieniach słońca. Ludziska przewijają się drobnemi gromadkami, a sporo jest takich, którzy samotnie korzystają z rozkoszy czystego powietrza i napawają się drganiami ciepła słonecznego. Tam wlecze się ktoś z wyrazem zgryźliwo-obojętnym na twarzy, na której jakby odczytujemy: jak czułbym się dobrze na łonie przyrody, gdyby nie było w pobliżu spacerujących błaznów dwunożnych! Zresztą szablonem swojego ubioru ani na jotę'nie wyróżnia się od pogardzanej ciżby. Owdzie siedzi kobieta, barwa warg mówi o bezkrwistości, wyraz twarzy jest mniej zgryźliwy, więcej tam za to smutku, pelerynka skrojona według ostatniej mody, myśli zaś są tego samego stempla, jak i u innych samotników, błądzących po parku, tj. obracają się około własnego „ja.“ Po ścieżynie zbliża się jakiś znajomy, następuje przywitanie takie lub inne, lecz pozbawione owej serdeczności, z jaką spotykają się kmotrowie na odpuście; czuć, że jest to goła forma, wykonywana dlatego, ponieważ „dobre“ wychowanie każe tak czynić. Parę minut rozmowy: skarga na nudy, nieco komplimentów, a pomiędzy nimi ukryte żądło docinku, grzeczne, zimne a dotkliwe. Taka sama pustka wewnętrzna prześladuje człowieka na każdym kroku w życiu — pustka, bynajmniej nie będąca dowodem, aby świat ludzki był obojętny niby głaz, lecz tylko świadcząca, że czyjeś serce jest zimne lub utraciło zdolności żywotne. Znajomi — nie mówię: przyjaciele, bo tych niema! Jak co św. Jan zmieniamy mieszkanie, podobnie każda wiosna lub też jakaś inna pora przynosi nam nowe twarze, z dawnych znajomych jedni wyjechali, z innymi zerwało się, ponieważ spowszednieli, żadnego może nie znamy od dzieciństwa. Spotykamy się z nimi na pewnego rodzaju sabbatach. Łysą górą jest salon, rolę dyabła spełnia w zamożniejszych jakiś tenor, arcygłupi, lecz arcymięsisty. Poflirtujemy, powiemy parę docinków, po powrocie do domu wyniecujemy wszystkich. I pusto, i czczo-jałowo, i monotonnie dzień po dniu skraca się życie. Otóż istotę ludzką z takiej szczególnej formacyi, nawet wolną od jadu nerwowości chorobliwej i głodu niezaspokojonych instynktów, obdarujmy zdolnością pióra. Trzeba zaprawdę potężnego talentu, ażeby z takiego szablonu wydobyć wypukłą rzeźbę. Hotelowość życia zrodzi to, że nasza znajomość dusz ludzkich będzie nader ciasna, wraz zaś z monotonnością otoczenia sprawi jeszcze dalsze skutki, mianowicie, iż żywi ludzie zostaną zamienieni na dekoracye; dzięki ceremonialnej suchości, pojmować będziemy ludzi tylko z jednej strony, albo zrozumiemy jedynie szczególnego pokroju typy — nie znam większych fanatyków jakiejś kliki estetycznej nad „wolne duchy,“ poruszające się torem życia wielkomiejskiego; swoje „ja,“ jedyna dobrze znana kryjówka, zostanie wydęte do niemożliwości, aż wreszcie w gronie doskonałych samotników lub śród nieprzystosowanych zjawi się metoda podmiotowa, będąca w gruncie rzeczy liryką. A właśnie w takim kierunku, od gwarnego odpustu kmotrów w małem miasteczku do błąkających się w smętnej analizie samotników, znużonych życiem, niesie dusze ludzkie potok dziejowy. Zamiast grup solidarnych powstają proste atomy: węzły rodzinne pryskają, pobratymstwo barbarzyńskie, wzmacniane wzajemnem wypiciem krwi, zamienia się na przelotną znajomość z większych lub mniejszych kiermaszów flirtu, ten i ów spotykając się codziennie z ludźmi, żyje w gruncie rzeczy niby pustelnik. Z tętnem barwnego życia ustaje rozumienie innych, z niem znowu wygórowanie swojego „ja.“ I gdybyśmy psotną ręką rozrzucili mrowisko na wszystkie strony i stargali na zawsze tę nić solidarności, jaka łączy mrówkę z mrówką, naówczas biedne stworzenia skarżyłyby się podobnie i utyskiwały taką samą podmiotową liryką, wyznawały taki sam filozoficzny pesymizm i może przy wzajemnem spotkaniu tak samo pozowałyby i gryzły się żądłem docinku. Jasną zatem jest rzeczą, jakie losy przy dalszym rozwoju w tym kierunku oczekują powieść. Autor może dać to tylko, co posiada w swem wnętrzu: spowiedź; w ostateczności zaś pokaże nam w kalejdoskopie nie realnych ludzi, lecz galeryę karykatur dwunożnych i przy każdym obrazie będzie niejako mówił: jacy oni nikczemni, podli, plugawi... Do powieści wkroczy pogoń za oklaskami, dowcip, styl, lecz serce z niej ucieknie — *sanfte Reden, Embrassieren: ach! wenn sie nur Herzen hätten!* I nawet jeśli owo serce zadrga silniej, nie starga przeklętych pęt, da nam obrazek rzewny, ale w tej samej nieudolnej formie, w tem samem zatarciu charakterów ludzkich. Owe hymny, wyśpiewane przez kogoś ku chwale własnej nieumiejętności, a przez nas przytoczone, są właśnie wytworem tego zacieśnionego widnokręgu. Życie mści się na wyzutym z solidarnego związku atomie. Samotność wywołuje analizę, szablonowość każe marzyć o straconej indywidualności. Albowiem jak chory dopiero wtedy poczyna

myśleć o zdrowiu, kiedy ono ucieka, podobnie ci, którzy utracili już indywidualność, drapują się w jej szaty, istotna zaś a potężna osobowość nic wie o sobie, żyje, działa, ale nie deklamuje.

Tak, najcharakterystyczniejszą formą dzisiejszej chwili jest przewaga pierwiastku podmiotowego, jęki obumierającej indywidualności, jakiś smutek i rozpacz, niemoc i zgryzota. A opowieść owa, tak grzebiąca się we własnej „jaźni" i tak nieumiejętnie malująca zewnętrzne dekoracye, jest jeszcze czemś więcej, aniżeli potokiem słów. Zdawkowy liberalizm rzucał się był na spowiedź, która w jego oczach była jedynie wynalazkiem szarlatanów. Zapomniał jednak, z właściwym sobie brakiem zmysłu historycznego, że ów obrządek zjawił się samorodnie i jedynie wtedy, kiedy już istniał, otrzymał sankcyę. Ten jeden fakt, pomijając inne, mianowicie, że spowiedź odnajdujemy u ludów najpierwotniejszych, gdzie niema żadnej hierarchii kapłańskiej, już ten goły fakt powinien był dowieść, że wspomniana instytucya odpowiadała i odpowiada jakiejś głębszej potrzebie duszy ludzkiej. Mówią, że niewypłakane łzy najbardziej dławią. To samo godzi się powiedzieć o niewypowiedzianej goryczy — trawi ona wewnątrz i piecze niby rozpalone żelazo. Zawsze i wszędzie istota ludzka szukała wyjścia z tego położenia: w hordzie australskiej dziki, który jeszcze nie zdobył się na pustkę wewnętrzną — jest ona owocem rozatomizowanej społeczności — opowiada swoje błędy przedmiotowo przed zebranymi współplemieńcami; gdzieindziej dokonywa ona tego przed specyalnemi osobami, wreszcie obecnie, o ile jest niezależną, wybucha analizą drukowaną. Ekstaza, wśród której człowiek to czyni: spokój, w jakim się znajdzie z chwilą, kiedy wypowiedział to, co dotychczas jako mniej lub więcej świadoma gorycz wstrząsała jego jestestwem, posiadają taki urok, że swoją mocą pociągają najodporniejsze i najbardziej w sobie zamknięte dusze. A kiedy myślimy o tej ciżbie atomów społecznych z nieodzowną wewnętrzną analizą, z nadmierną wybujałością „indywidualności," nie możemy jej sobie wyobrazić bez istnienia pewnej liczby znachorów duchowych, wysłuchujących owej analizy i umiejących tę lub inną ranę wewnętrzną usunąć humanitarnym lekiem dobranego słowa. I gdyby tacy spowiednicy istnieli, nie ulega wątpliwości, że liczba utworów, w których wynurza się analizująca jaźń, byłaby mniejszą. Ażeby o tem się przekonać, nie potrzebujemy daleko wodzić okiem. Parę utworów najmłodszego swojskiego pokolenia nosi aż nadto jaskrawe znamię, że są takim samym aktem spowiedzi przed bezimiennym tłumem czytelników— naturalnie jeśli wśród tej ciżby niema zgóry upatrzonej osoby, dla której wszystko jest przeznaczone. Jedna rzecz w tem razi, mianowicie, że ten i ów tak łatwo decyduje się wynieść na rynek literacki swoje wewnętrzne cierpienia i szuka w tem nie tyle ulgi dla siebie, ile sławy w małym niekiedy światku współtowarzyszów sabbatu salonowego. A sądzę, że nietylko spowiedź jest potrzebą dzisiejszego analityka. Swieżo czytałem w wolnym przekładzie ustępy z Juvenalisa. Może poeta-tłomacz zanadto wielkiej dopuścił się swobody w oddawaniu cudzej myśli, bo zdawało mi się, że mam przed sobą utwór chwili nowoczesnej, urągający owej próżni wewnętrznej, tej starczej młodości i bezsilnej żądzy. Jednakie przyczyny działają jednako. W owej epoce starożytnej ukazał się też prąd ku bezimienności, ludziska porzucali rodzinę, stanowisko, imię i uciekali na pustynię. Wprawdzie działały tam jeszcze inne pobudki, ale swoją drogą odraza do życia realnego odegrała niemałą rolę. I zanoby nie dziwiłbym się, gdyby idea klasztorów zmartwychwstała w nowożytnej Europie, naturalnie hołdująca zmienionym zasadom. Kryjówki te, na łonie przyrody, stałyby się widownią rozpamiętywania dla jaźni, będących w rozterce wewnętrznej — najdodatniejszych, bo zwykły analityk, acz będzie jęczał nad swojem „ja," przecież nadal będzie kąpał się w falach flirtu i pozy. Ale są inne, które dla pozbycia się ciężaru niezaspokojonych pragnień, nieziszczonych snów, przygniatającego szablonu, gotowe są z siebie zetrzeć nawet własne imię, z niem zaś przeszłość, ale jeszcze nie samo życie.

* * *

Tak przedstawia mi się w ogólnym zarysie psychologia najmłodszego pokolenia. Utwór, o ile nie jest dzieckiem nieznajomości życia, a zatem niekiedy fazą przejściową, jest w swej podmiotowej formie spowiedzią, mniej lub więcej szczerą. Pozostaje jeszcze tylko jedno pytanie: co wyjdzie z tego całego zastępu? Nie idzie mi tutaj o pokolenie, stojące po za prowodyrami literackimi, ale o tych ostatnich. Że jest tam niewiele zdrowego ziarna, rzecz to pewna. Ale co do wartości literackiej wkraczającego zastępu, sąd jest już trudniejszy. Spowiedź bowiem jest bardzo nieudatną skalą do mierzenia czyichś zdolności. Każdy bowiem, jeżeli posiada jakiś smak, zdoła wyspowiadać się chociaż raz jeden w życiu zadowalająco. Ale jądro spoczywa w tem, ileż z pośród tych spowiadających się jaźni zdoła przejść do skreślenia szerszych związków pomiędzy ludźmi, do przedstawienia wzajemnego splotu odmiennych dusz. Może nigdzie nie bywa tylu powołanych i tak mało wybranych, jak wśród tego znaku szeregowców. Przyznam się, iż osobiście, z pośród tego zastępu najmłodszych, wierzę zupełnie tylko w jednego — w Dąbrowskiego. W *Śmierci* (nie znam jeszcze świeżego utworu) jest kilka figur po za piszącym o sobie pamiętnik, tak dosadnie i niedekoracyjnie skreślonych, iż pozwalają mniemać, że prędzej lub później starga on niewdzięczną, bo monotonną formę podmiotowej opowieści lub w każdym razie powiąże w spójną całość wnętrze bardzo różnych dusz ludzkich. Jeszcze jedna uwaga. Suchotnicy należą do osób bardzo zgryźliwych. Gdybyśmy w kalejdoskopie powieści oglądali twarze zohydzone, niby menażeryę małp, byłoby to w porządku rzeczy. A jednak tego tam niema — ów suchotnik z takiem jeszcze ciepłem patrzy na podobnych sobie, nie wykrzywia ust pogardą, ani nie szydzi z zabiegów innych, chociaż sam zrozpaczył. To właśnie ciepło humanitarne utworu wraz z brakiem stylistycznej histeryi i pozy jest źródłem mojej wiary w Dąbrowskiego — naturalnie jeżeli nie porwie go z czasem korowód tandety dziennikarskiej. I rzecz dziwna, krytyka przyjęła go dość po macoszemu, o pomniejszych z pośród „najmłodszego" zastępu odezwano się niejednokrotnie z większem ciepłem, autorowi zaś *Śmierci* protekcyonalnie kiwnięto głową, ba! nawet raczono podejrzywać go niemal o plagiat z Tołstoja!

K. R. Żywicki.

LITERATURA FRANCUSKA.

Rachilde: *L'animale* (Zwierzęca). Paryż, 1864.

(Dokończenie).

Przez rok Laura czuła się szczęśliwą. Ukochany dla pozorów zatrzymawszy pokój na ul. Racine, mieszkał z nią na szóstem piętrze, w dawnej pracowni fotograficznej, gdzie dach był szklany i z tafli padały promienie słoneczne.

Ale Albanowi rok wystarczył. Znudziło mu się, postanowił zerwać. Nagliło go „założyć rodzinę." Gdy żartobliwe namowy do sprzeniewierzenia się, ani brutalne półsłówka nie poskutkowały, zostawił sprawę losom, a tymczasem wybrał się szukać żony.

Wyjeżdżał po sprzeczce z Laurą. Dzień przedtem otrzymała uwiadomienie o śmierci matki. Smutno jej było, ale zawiedzione oczekiwanie Henryka, który miał przybyć, napełniło ją taką goryczą, że łzy nie uroniła po rodzicielce. Nazajutrz on prawił jej perory.

— Ubolewam nad tobą, droga przyjaciółko, ale to haniebne... ten twój brak serca. Zauważyłem go oddawna.

— Ja mam serce — westchęła kobieta— ale ono nagie. Wy umiecie je ubierać, ja nie. Matka wygnała mię, skrzywiła dolę, nie chcę udawać rozżalonej po niej.

Henryk zabrał się do krytyki księdza z Estérac, wreszcie przeszedł do wyjazdu.

— Nie miej złych myśli, jadę na świeże powietrze.

— Wiem, że ci ciężę — błagała — zdaje mi się, że uciekasz ode mnie. Ale wysłuchaj mię, chciałabym być twoim aniołem, oddałabym za ciebie wszystko. Nie uchodź, bez ciebie zamrę. Kiedy śpię, trapią mię sny dziwne, wilki rzucają się na mnie, mróz ścina żyły. Przestrach ogarnia, jedyne szczęście gdy obudziwszy się, czuję cię przy mnie. Nie odjeżdżaj!

Nazwał to histeryą. Kotek, którego znalazła kiedyś na ulicy, prosił mleka. Nalała czarkę, w którą łez kilka padło.

— Co za czułość u ciebie. Tyś stworzona na wychowawczynię dzieci. Drobiazgu wkoło ciebie trzeba, ptactwa. Dopiero byłabyś szczęśliwą. Jak źle, że nie znalazłaś męża. Pielęgnowałabyś go dobrze.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

— Urodziłam się na twoją żonę — odrzekła smutno.

Henryk parsknął śmiechem.

Wtedy oburzenie wybuchło w dręczonej duszy.

— Tak, twoją żoną powinnam być i tyś powinien był przebaczyć, gdybym względem ciebie winę była spełniła. Ale wy porządni jesteście nędzniejszymi od najnędzniejszej nawet istoty...

Pojechał i trzydzieści dni zwolna, jak trzydzieści chmur się przesunęło. Gdy wrócił, usiłował pozbyć się jej. Widząc jego zamiary, sama zerwała.

Poczęły się straszne chwile: samotność i nędza.

Nareszcie pewnego wieczora odziała się w swój płaszcz, jedyną pozostałość dobrego bytu i zeszła ku głównej targowicy ciała: wielkim bulwarem, z ostatnimi dwoma frankami w kieszeni. Nawet kot ją z głodu opuścił.

Nogi gięły się; usiadła w jednej kawiarni, służący odpędził. Błąkała się do północy, bez zmysłów, sił. Nikt ku niej nie podchodził, drżała przed każdym spotkanym. Chciała rzucić się na środek drogi pod wozy, pod konie i wołać: jedźcie po mnie, stąpajcie, mam dosyć życia, nowego zarobkowania.

O północy wstąpiła do kawiarni „Amerykańskiej." Kobiety publiczne schodziły się, jedna objęła ją, wziąwszy za przyjaciółkę. Potem poczęła usprawiedliwiać się.

— Przepraszam panią.

Panią! Więc jeszcze na panią wyglądała?

Wypiwszy szklankę wody, chciała odejść. Wtem naprzeciw umieścił się mężczyzna słuszny, zgrabny, przyzwoicie odziany, ale zdradzający ekscentryczność. Dobył z zanadrza drukowany papier, zaczął poprawiać. Ściskał pióro nerwowo, wahał się przy każdem wykreśleniu. Laura krę-

powała go widocznie, bo przywoławszy chłopaka, kazał postawić sobie grog na drugim stoliku.

I ten jej nie chciał. Dość już. Nie będzie dłużej walczyć, ma jeszcze siły rzucić się z mostu. Wyprostowana i poważna, ze spokojnem obliczem, opanowanem myślą samobójstwa, wstała.

— Skoro panu przeszkadzam, pójdę.

— O nie, nie przeszkadzasz mi, dziecko— odrzekł, spojrzawszy swym głęboko wnikającym wzrokiem.

Coś zadzwoniło w piersi Laury. Czemuż mówił tak łagodnie, dobrym, usprawiedliwiającym się głosem. Może on zbawcą?

Złożywszy papier, ukrył go w kieszeni. Potem znów spojrzał na nią i spytał:

— Czeka pani na kogo?

— Nic.

— Piękny wieczór.

Mieszała wodę z cukrem. On rzekł niezręcznie:

— Proszę mój grog.

— Nie, dziękuję.

— To szampan, albo lody?

— Nic.

Zmieszała się, oczekiwała od gościa jakiejś cynicznej pieszczoty. Na myśl o tem rzuciła się nerwowo w tył, aż warkocz się rozwiązał.

— Biedactwo, nawet włosów nie umiesz sobie ułożyć, wychodząc.

I nie bawiąc dłużej, zapłacił i wyjechał z Laurą do lasku Bulońskiego. Znajomemu, który mu winszował „dobrego połowu,“ odpowiedział:

— Ta pani zabłądziła.

I gdy Laurze łzy płynęły z wdzięczności, nie pytał o nic. W lasku usiedli, słuchając spadającej kaskady. Zbliżył się do niej, prosił o pocałunek.

Kupny? Nie, nie mogła go złożyć. Milczała.

Gdy dorożka stanęła przed domem Laury, poeta chciał odejść. Ale ona obiema dłoniami chwyciła go za rękę. „Wejdź do mnie.“ Uległ i wszedłszy, złożył na kominku banknot. Laura spaliła go przy świecy.

Z życiem skończyła. Mówiło jej coś, że pokochałaby, że nawet już kocha tego człowieka, który rozmawiał z nią jak z siostrą, zrozumiał niedolę. Po jego odejściu zabije się.

Rano wstawszy, nieznajomy nim odszedł, jeszcze raz spojrzał na śpiącą kobietę. Przejrzał jej życie, odczuł, że było podobne do jego życia.

Otworzyła oczy, kończyła się szczęśliwa chwila życia. Opuszczał ją..

— Pan idzie? — spytała trwożnie.

— Idę. Ale powiedz mi swe imię.

— Cóż po imieniu? Nie pytam o pańskie.

— Jesteś smutną?

— Tak. Wiem, że koniec wszystkiemu i że kocham pana...

Opuściła głowę na piersi mężczyzny, a ten całował jej ręce. Uczuła tęsknotę, niezmierną tęsknotę i spytała.

— Chcesz mię za sługę?

— Za sługę? Nie, za więcej. Nie rozejdziemy się, duszo, bośmy się *odnaleźli*. Ale powiedz, czy pójdziesz ze mną w kraj daleki, na południe, gdzie lwy ryczą.

— Wszędzie, wszędzie. Ale jeśli pan będzie żałował? Tak nizko stoję, nie otrzymałam wychowania.

On ukląkł u łóżka i jeszcze raz ją uścisnął. Laura uśmiechnęła się. Nie chciała umierać. Ubrawszy się, chwyciła obydwa klucze mieszkania i oddała mu, aby zamknął ją, aby jego mogła tylko widzieć. Położyła się potem znowu i zasnęła ukołysana marzeniami. Zawinęła do portu. Znalazła duszę pokrewną, czystą, idącą za popędem serca, zdolną zrozumieć jej osobowość. Życia mało za to.

Koniec tchnie ironią. Nadto charakter jego przypadkowy razi w powieści, gdzie każdy szczegół subtelnie jest umotywowane. Kot, wściekły się z głodu, wrócił do mieszkania Laury i rzucił się na swą panią. W walce ze zwierzęciem, zlana krwią, zamknięta w mieszkaniu, kobieta wybiegła na dach i stąd runęła,..

Gdy jej ciało druzgotało się na kamieniach ulicy, poeta wchodził do pokoju, cicho otwierając drzwi, aby ukochanej nie zbudzić *).

W. Bugiel.

*) Powieść ta jest jednym z wielu dowodów, jak wyobraźnia francuzów wysila się rozpaczliwie na wymyślenie nowych wątków i jak wytwarza dziwolągi. Zresztą bohaterki z omnibusowem sercem nie są już tam nowością. *Red.*

ODCZYTY.

Aleksander Palmirski, *Życie jako przedmiot nauki.*

Drugi odczyt stanowił spopularyzowanie pewnego odłamu zjawisk biologicznych w sposób niezmiernie ciekawy i przystępny nawet dla słuchaczów z początkowem wykształceniem, ale uważnych i rozgarniętych.

Wszelkie właściwości zarodzi (przybieranie pewnej budowy, wzrost, rozmnażanie itd.) nauka przyjmuje bez tłomaczenia, ale natomiast stara się wyjaśnić, dla czego nie wszystkie osobniki są jednakowe; dla czego się różnią budową, wielkością i w odmienny sposób te same czynności załatwiają. Prelegent, obrazowo zestawiając zasilanie maszyny parowej z mechanizmem zwierzęcym, zużywającym i wyzwalającym siłę utajoną w pokarmach, naszkicował plan budowy zwierzęcia, któremu w rysunku nadał postać dowolną i przystępnie wyjaśnił właściwości jego mechanizmu. Ustrój teoretyczny rośliny jest o wiele prostszym, nie posiada tyle co zwierzę skomplikowanych narządów dla utrzymania się przy życiu. W roślinie chodzi głównie o rozmieszczenie w najkorzystniejszy sposób jak można największej ilości komórek chlorofilowych. Zjawiska życia niejednostajnie pod względem natężenia podzielone są pomiędzy dwa królestwa istot ustrojowych. Prelegent więc w dalszym ciągu swego wykładu mówił tylko o zwierzętach, gdyż w nich zjawiska życiowe najwyższy stopień rozwoju i największą wyrazistość osiągają. Wynika to stąd, iż rośliny pracują przeważnie przy udziale promieni słonecznych (siły zewnętrznej), zwierzęta zaś — przy udziale siły, wyzwolonej w samym ustroju z materyału wytworzonego przez rośliny. Rozsnuwszy w krótkości ustaloną teoryę naukową, znaną inteligentnym czytelnikom, o powstawaniu gatunków (jednoczesnem i zupełnie od siebie niezależnem, jako konieczne następstwo życia), Palmirski narysował i wyjaśnił słuchaczom rusztowanie trwałe, podpierające pozostałe części organizmu tj. skielet tudzież — zbiorniki siły do różnych podrzędnych czynności — układ mięśniowy i w końcu cały mechanizm wewnętrzny, właściwości różnorodnych istot, charakterystykę warunków ich bytu i walki o niego, odbywanie jednych i tych samych czynności w najróżnorodniejszy sposób (np. oddychanie całą powierzchnią ciała lub wyłącznie do tego celu służącymi wyrostkami i blaszkami, posługiwanie się szczękami stawonogich itd.). O ile badania, przeprowadzone do obecnej chwili pozwalają wnioskować, niema ani jednego narzędzia w organizmie zwierzęcym, któreby było odrazu do jakiegoś ściśle określonego celu zbudowane. Uważny badacz widzi, że każdy, przyrząd powstał z przekształcenia jakiegoś innego, który przed nim istniał i miał inne przeznaczenie albo kilka czynności naraz wypełniał. Dowodzi to, że organizm zwierzęcy kształtował się stopniowo z tego, co posiadał i co w danych warunkach najbardziej do przeróbki się nadawało.

Istnieje wiele zwierząt drobnych, które nie mają żadnych organów; cały ich ustrój składa się z kawałka zarodzi; a jednak przyjmują one pokarmy, oddychają, są wrażliwe na podniety zewnętrzne (ciepło, światło) przenoszą się z miejsca na miejsce itd. Wymownym przykładem w tym względzie jest ameba, (którą prelegent pokazał na rysunku). Inna więc tutaj droga prowadzi do jednakiego wniosku, że istotną żywą część zwierzęcia stanowi zarodź, w skład jego wchodząca, a cały mechanizm — to dodatki zewnętrzne, które z biegiem czasu na tem żywem jądrze się wytworzyły.

Długi szereg badań każe nam przyjść do przekonania, że gatunek musi być zmiennym i że naturą żywą muszą rządzić jeszcze jakieś prawa, dotąd niezbadane. Nauka współczesna o życiu uważa za przyczynę powyższych zjawisk właściwość materyi ustrojowej — istnienie jej pod postacią oddzielnych osobników, z których każdy stara się wszelkiemi siłami istnienie utrzymać i jego potrzeby zaspokoić. Stąd ta charakterystyczna walka o byt, której znamienne cechy prelegent poparł przykładami z gruntu swojskiego. (Pająk *topnik* w okolicy Warszawy, budujący z pajęczyny gniazdo pod wodą, ściągający tam pęcherzyki powietrza. Tam też szuka on żywności, bo go pod powierzchnię wody zagnało współzawodnictwo o zdobycie pokarmu).

Sama atoli walka o byt nie tłomaczy dostatecznie zjawisk życiowych. Może ona jedynie dawać pierwszeństwo, popierać formy lepsze, ale ich sama wytworzyć nie potrafi. Tutaj nauka wyjaśnia, że zwierzęta i rośliny, dzięki właściwościom zarodzi, zdolne są do pewnych zmian, że dzieci nigdy nie są zupełnie podobne do rodziców. W ten sposób każda żywa istota ciągle okazuje pewne drobne zmiany, stanowiące materyał, przy którego pomocy walka o byt stopniowo przekształca formy istniejące (np. dobór sztuczny, dobór naturalny). Oprócz zmienności, istoty żywe posiadają dziedziczność, czynnik działający w odwrotnym kierunku i zmierzający do uporczywego utrzymania bez zmian tego, co istnieje. Badanie historyczne (rozwojowe) organizmu prelegent uplastycznił bardzo obrazowemi porównaniami z dziedziny socyologii. Również obrazowy i jasny był wykład o podziale zwierząt tudzież określenie dwu grup: pierwotniaków i tkankowców. Współczesna nauka o życiu upatruje w budowie zwierzęcia jego dorobek, stopniowo nabyty, jednocześnie w rozwoju osobnika widzi powtórzenie w kolejnem następstwie wszystkich tych zmian i przekształceń, jakie przeszedł dany rodzaj dla osiągnięcia swojej obecnej formy. Pogląd ten streszcza się w następujących kilku wyrazach: rozwój osobnika jest skróconem powtórzeniem rozwoju rodowego. Tkankowce, stosownie do większego lub mniejszego stopnia podobieństwa, dzielą się na 8 dużych zbiorowisk, z których każde rozdrabnia się w dalszym ciągu na grupy podrzędne. Podział staje się coraz zawilszym, coraz więcej cech musimy jednocześnie brać pod uwagę, w końcu dochodzimy do grup takich, iż wchodzące w ich skład jednostki tak są do siebie podobne pod względem budowy, wyglądu zewnętrznego i innych właściwości, że mogą być poczytane za dzieci jednych rodziców. Grupa taka w zoologii stanowi *gatunek*. „Dla współczesnego zoologa — powiada prelegent — gatunki są liśćmi na olbrzymiem drzewie życia zwierzęcego. Drzewo to swymi ko-

rzeniami sięga do pierwszych brzasków życia na powierzchni ziemi; pniem zaś, konarami, niezliczoną ilością gałęzi i gałązek, wypełnia całkowity okres jego istnienia, rozpościerając obecnie przed nami swoje najnowsze utwory — gatunki. Wykryć związek, zachodzący między gatunkami zwierząt, to cel działalności współczesnego zoologa." Piękny wykład Palmirskiego, nacechowany gruntowną znajomością przedmiotu i jego zamiłowaniem, może nie wszędzie był przezroczysty dla leniwych i zbyt słabo oświeconych umysłów; ale dla takich rzecz najbardziej przystępna jest straconą.

Zn.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— Powieść A. Garborga *Znużone dusze*, drukowana zeszłego roku w *Prawdzie*, wyszła osobno nakładem T. Paprockiego.

— W *Bibliotece powszechnej* Zukerkandla (w Warszawie T. Paprocki) wydano: *Podróże Guliwera* Swifta, *Wieczorne pieśni* W. Haleka, *Natan mędrzec* Lessinga, *Matka rodu Dobratyńskich* F. Grillparzera.

— W wydawnictwie *Gazety świątecznej* ogłoszono: *Gorzałka* z niem. przeł. M. Twardowski; *Dumy i pieśni*, 100 śpiewów z ust ludu zebrał Z. Glogier.

— Znany autor podręczników językowych, Plato v. Reussner ogłosił w V wydaniu. *Polsko-niemiecki elementarz*) str. 112, kop. 35) oraz *Najlepszą metodę języka angielskiego* (str. 152 — kop. 75).

— *Elementarz dla pilnych dzieci* K. Glińskiego (str. 15, kop. 2) jest oparty na używanej powszechnie teraz metodzie dopomagania nauce głosek rysunkiem.

— F. Łagowski wydał broszurkę *O nauczaniu pisowni z zastosowaniem jej zasad do uchwał Akademii Umiejętności.* Autor podaje najprostsze sposoby wykładu.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała nowy (VI) zeszyt zajmującej pracy *Królestwo zwierząt.*

— *Encyklopedyi rolniczej* wyszedł zeszyt 32, który doprowadza dzieło do artykułu: *Handel inwentarzem.*

— Liczbę przekładów dzieł Wagnera (głośnego badacza nawozów sztucznych), pomnożył p. W. Gałecki tłomaczeniem broszury: *Żużle Thomasa, ich użycie i zastosowanie*, str. 91, kop. 60. Książka bardzo pouczająca.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Anglii.

I.

Czytelnicy *Prawdy* znają zapewne anegdotę, usiłującą przedstawić samolubne i krańcowe odosobnianie się podróżującego anglika. W wagonie kolei żelaznej siedzi drzemiący John Bull, który wiezie z sobą jakiś plan kanalizacyi lub innej dźwigni postępu dla Wschodu; marząc o dywidendach i wielkich zyskach anglik — bo dla nas tylko zagranica goni za groszem — nie spostrzega, że tymczasem surdut jego ulega zniszczeniu od zapalonego cygara. Na szczęście dla przyszłej kanalizacyi i dla chciwego anglika, towarzysz podróży, rozumie się, jakiś serdeczny polak, rzuca się na pomoc i dusi w zarodku ogień, wrogi planom uzdrowotnienia krajów wschodnich. Ale chciwy grosza anglik, samolub i bez serca, nie pojmuje uczynków „gorącego uczucia braterstwa" i za pomoc, którą nasz serdeczny rodak okazał sprawie kanalizacyi oraz surdutowi Johna Bulla, płaci wyrzutami, obelgami i groźbą procesu za „stracone korzyści," które woń palącego się surduta przynieść może.

Anegdotek takich jest moc; zawsze w nich anglik będzie samolubem, bez serca, szowinistą, któremu przeciwstawia się uczuciowy polak, gadatliwy i z roztwartemi ustami, ale ściśniętym mózgiem przypatrujący się „dziwactwom" w innych krajach.

Nawet tu, na bruku londyńskim, trudno mi spotkać rodaka, któryby nie złorzeczył „materyalistycznej" Anglii i chciwości Johna Bulla. Widziałem tu całe zastępy awanturników naszych, nieumiejących rozróżniać między pojęciem interesu a pojęciem oszustwa, ale ulegających „handlarskiemu" narodowi, który nie ma serca. Odpowiedź moja była zawsze jedną: przestań, serdeńko, zaglądać bez ceremonii do kieszeni angielskiej, a wtedy potrafisz znaleźć u Bulla i serce, bijące silniej może od twojego.

Wiem, że nietylko my jesteśmy w pogoni za sercem. Każdy np. niemiec zachwyca się swojem „Gemüth," którego nie może mieć amerykanin, polujący na dolary. Ale w Niemczech wyleczono się już prawie z tej obłudnej uczuciowości. Od czasu, gdy Niemcy zostały wielkim i silnym krajem, gdy wszystkie sfery życia i twórczości społecznej zajaśniały żywymi kolorami bezustannego rozwoju, spostrzeżono także, że dawne chełpienie się swojem „Gemüth" było niczem więcej, jak umiejętnością drobnego kramarza wyłudzenia drobnej monety. Dziś z rozwojem wielkiego przemysłu Germania nie potrzebuje już przewracać smętnych oczu. My tylko, pozostając w tyle, będziemy jeszcze długo przeciwstawiali nasze „serdeńka" zgangrenowanemu Zachodowi, handlarskiej Anglii, zdolaryzowanej Ameryce i niemieckim kutwom. Im więcej twórczymi będziemy, tem więcej urągać potrafimy — albo z punktu widzenia polskiego, albo nawet jako członkowie rasy słowiańskiej.

Na te wybuchy szowinistyczne słabszych szczepów i ras nie ma lekarstwa. Obowiązkiem wszakże moim, jako sprawozdawcy, jest postawić niektóre błędne i przesądne zdania, jakie mamy o Anglii.

Przedewszystkiem Anglia nie jest narodem *kramarskim*, a pod względem fanaberyi synowie Albionu mogliby rywalizować nawet z naszymi ojcami, którzy żyli jeszcze za czasów pańszczyznianych. Różnica między staropolską fanaberyą a współczesną angielską jest jednak bardzo wielka. Tamta była bezmyślną i miała za podstawę brak troski o jutro; nasze szczątkowe ambicye, które istnieją jeszcze o tyle, o ile im system gospodarki pieniężnej istnieć pozwala, są tak samo bez myśli o jutrze. Fanaberya angielska żyje także z dnia na dzień, ale ma za podstawę zupełną pewność co do jutra. Dlatego też w Anglii nie brak filisterstwa i sknerstwa drobnomieszczańskiego. Anglik nie myśli o jutrze ze strachem, bo jest go pewnym. Ta strona charakteru rozwinęła się w czasach, gdy monopol przemysłowy Anglii podbił sobie cały rynek wszechświatowy. Potęga dała jej synom tę pewność siebie, którą zachowali i dziś, pomimo upadku monopolu i pomimo panującego przesilenia.

Mieszczaństwo angielskie wyrobiło w sobie mnóstwo sił, cnót oraz olbrzymią sprężystość swych zdolności. Przed kilkudziesięciu laty pogrążyło się ono całe w pracy około podboju świata i to tak dalece, że naukę, sztuki piękne, politykę nawet pozostawiło odłogiem. Młodzież mieszczańska nie dbała o ogładę, o swe własne wychowanie. Umysłowość ograniczała się na przysłuchiwaniu się i na powtarzaniu religijno-etycznych zasad różnych kościołów, kapliczek i sekt, które są pozostałością wielkich walk reformacyjnych i społecznych z XVII stulecia. I jak Abraham ofiarował Stwórcy Izaaka, tak każda rodzina mieszczańska oddawała jednego ze swych synów na ofiarę teologii lub naukom prawnym; to był jej podatek niesiony „ideałom."

Czasy te minęły, jak minął monopol przemysłowy Johna Bulla. To też teraz rzuca się on na inne pole życia, „wnika w siebie samego" — jak mówi terminologia niemiecka. Dziś angielski *middleclauman* — mieszczanin, pan rynku wszechświatowego, któremu sferę podbojów ścieśniono, zwrócił się do swej własnej siedziby, aby zdobywać w niej wszystkie te twierdze społeczne, które przedtem sam oddał swej arystokracyi.

Praca ta nie była łatwą. Przedewszystkiem wodzowie mieszczaństwa, z nielicznymi wyjątkami, byli członkami arystokracyi. Wytworzyć zaś nowy personel, mogący współzawodniczyć ze staremi siłami, było rzeczą tem trudniejszą, że cała administracya kraju, wszystkie urządzenia jego zatrzymały ustrój czasów feodalnych. Samorząd angielski, organizacya szkół, księgarstwo nawet — wszystkie te narzędzia społeczne miały zupełnie arystokratyczną i to udoskonaloną technikę. Do dziś Anglia nie posiada racyonalnego systemu wychowania średniego i nie rozporządza ani jednym uniwersytetem, odpowiadającym potrzebom narodu demokratycznego. Uniwersytet londyński, najnowszy płód usiłowań reformatorskich, jest wyłącznie ciałem egzaminacyjnem, rozdającem stopnie naukowe, ale bynajmniej nie szerzącem nauki. Podczas gdy Niemcy posiadają 20 wszechnic, z których jedna wypada na 2,470,000 mieszkańców, w Anglii wszechnica (jest ich 7) wypada na 4,150,000 ludności. Ważniejszą wszakże rzeczą jest wewnętrzna organizacya zakładów naukowych, która niewiele się dziś różni w Anglii od porządków, jakie panowały w nich za czasów Miltona.

Prasa angielska i cały handel księgarski miały również formy arystokratyczne. Aby tu założyć pismo, trzeba mieć kapitał milionowy. Cena książek naukowych była przeciętnie od 10 do 20 rubli za tom. Cała zaś literatura angielska spoczywa w rękach „wyższego świata."

Współczesna więc mieszczańska Anglia, gdy chciała ukoronować swe dzieło podboju przemysłowego, pomiarkowała prędko, że w kraju swym napotyka na większe przeszkody, niż te, które w „zagranicznych" walkach znalazła na swej drodze.

Rozpoczęto więc od dołu, od podziemnych robót, które miały wstrząsnąć całym gmachem. Rozpoczęto od szkół elementarnych, którym dopiero od 1892 r. zdobyto zasadę bezpłatnego, obowiązkowego wykształcenia. W sferze wyższych ograniczono się tymczasem na uniwersytecie londyńskim. Na pierwszy rzut oka okoliczność ta zdaje się być rzeczą podrzędną, w rzeczywistości wyjaśnia ona nam charakter autodydaktyczny, który piętnuje całą młodą inteligencyę angielską. Ten autodydaktyzm posiada swoje ujemne, ale jednocześnie i dodatnie strony.

Wszędzie zaś, gdzie „inicyatywa prywatna" miała otwarte pole, tam dokonano najwięcej. Towarzystwa szerzenia oświaty, zakłady dla klas niższych, muzea, nowa tania prasa, tanie książki, czytelnie i prelekcye przebyły okres prawdziwego rozkwitu. I oto dziś mieszczaństwo angielskie wyłoniło z siebie cały zastęp nowych sił umysłowych, którym może powierzyć zarząd spraw krajowych. Odbija się to przeobrażenie, dokonane w mieszczaństwie, nietylko na składzie Izby gmin, ale i na personelu rządowym.

Ile ofiar, ile pracy, ile funduszów pochłonęły te starania reformatorskie, tego nasi serdeczni rodacy nie potrafią nawet obliczyć. Jasne jest, że nie posiadamy ani środków, ani możności, aby wyrównać anglikom, ale też nadmienić wypada, że pozbawieni jesteśmy i tej wytrwałości i tej samowiedzy, którą „zmateryalizowane i chciwe grosza" narody posiadają.

Tanie książki i u nas były na porządku dziennym, ale bogaci sercem zagalopowa-

liśmy się do tego stopnia, że nasze pisma muszą dziś dawać bezpłatne dodatki, bo już nie ma nabywców tanich książek. Nasza dobroduszność słowiańska wymaga w końcu, abyśmy żyli ofiarami z cudzej kieszeni; nasze dobre serce taki rodzi w nas wstręt do wyzysku ze strony wydawców, że wymagamy od nich wszystkiego bezpłatnie. W Anglii tanie wydawnictwa istnieją i rozwijają się, bo ogół, który się ich dopominał, równie gorąco popiera je dziś, jak wczoraj. Księgarze, którym opowiadałem o naszych dodatkach bezpłatnych, sądzili z początku, że to próżność autorów niepoczytnych zrodziła ten „zły zwyczaj," a gdy im pokazałem Darwinów, Tylorów bezpłatnych, zaczęli wątpić, aby ktoś je czytał. „Przecież ktoś musi płacić: albo publiczność, jeśli potrzebuje autorów, albo autor, jeśli potrzebuje publiczności." U nas taka uwaga zrodzi znowu podejrzenie co do „materyalizmu" Europy zachodniej.

Pod względem społecznym najważniejszą wszakże zdobyczą były szkoły ludowe, a raczej ich upaństwowienie. W historyi współczesnego szkolnictwa wielki rok reformy, mianowicie 1832, jest początkiem stałych zapomóg państwowych dla „narodowego towarzystwa szkolnego," które było w rękach kościoła anglikańskiego. Dopiero w r. 1870 występują „rady szkolne," wybieralne, a w 1880 zasada przymusu szkolnego ostatecznie uzyskała sankcyę prawodawczą. Jak już zaznaczyliśmy, bezpłatność szkolnictwa ludowego jest zdobyczą z 1891—92 r.

Wszystkie te reformy mimowolnie wytworzyły dzisiejszy stosunek kościoła anglikańskiego do szkoły ludowej, która z rąk pastorów przeszła do rąk nauczycieli zawodowych. Ta, że się tak wyrazimy, sekularyzacya szkół zawodowych była dziełem nie walki wolnej myśli z kościelnym spirytualizmem, ale współzawodnictwa i sporów, istniejących między członkami państwowego (anglikańskiego lub prezbyteryalnego) kościoła a członkami różnych niepaństwowych gmin religijnych, różnych sekt, kapliczek, zaliczonych hurtownie do kategoryi „nonconformists." Ilość ich w Anglii obejmuje większość mieszkańców, jeśli zważymy, że i katolicy nieraz popierają odszczepieństwo w kościele protestanckim. Ale i za obrębem Irlandyi mamy naprzykład w Szkocyi tylko $^1/_3$ część, a w Walii tylko $^1/_5$ ludności jako przynależną do kościoła państwowego. Te stosunki religijne zrodziły ważną dla szkolnictwa kwestyę: w jakim duchu ma się odbywać wykład religii? Prawodawstwo zasadnicze wyrugowało ze szkół „formuły" religijne; ugoda zawarta w r. 1880 między członkami różnych kościołów, ustanowiła Biblię, jako wytyczną dla wykładu religijnego, usuwając stronę dogmatyczną, jako sporną.

Jasnem jest, że nauczyciele wolnomyślni i agnostycy skorzystali z tych sporów, licząc zawsze na poparcie sekt w walce z anglikanizmem. Tymczasem przed kilku tygodniami przewodniczący londyńskiej rady szkolnej, pan Diggle, wystosował w imieniu i ze zgodą rady szkolnej okólnik, nakazujący wykład niektórych dogmatów. Nauczyciele bez różnicy przekonań zaprotestowali, a mając za sobą silną organizacyę zawodową, osiem tysięcy nauczycieli londyńskich zagroziło bezrobociem. Groźba ta nie została urzeczywistnioną, bo przeciwnicy okólnika wolą zesrodkować swe siły do walki wyborczej, która się odbędzie w listopadzie b. r. Atak ten anglikanizmu jest zjawiskiem znamiennem. Nie pochodzi on od dostojników kościoła, bo biskup angielski wyraźnie zganił postępowanie większości rady szkolnej. Ten zapał wojowniczy ogarnął właśnie niższe duchowieństwo, które obawia się zupełnej zagłady.

Kościół państwowy wogóle jest skromnym i patrzy na wszystko przez szpary; jest on kościołem klas wyższych, obojętnych w kwestyach wiary, podczas gdy mieszczaństwo, przyzwyczajone do tradycyi z czasów walk reformacyjnych, aby swe hasła ubierać w sukienki teologiczne, garnie się do odszczepieństwa, mającego demokratyczną organizacyę kościelną, ale zarazem i pewien prawdziwy lub sztuczny fanatyzm. To też jeszcze do dziś dnia wszystkie te sekty i kapliczki mają wielkie polityczne znaczenie, które kler państwowy utracił. Otóż niższo duchowieństwo chce mieć znaczenie i rozpoczęło walkę, dodajmy, bardzo zręcznie, bo część sekt w obawie o agnostycyzm popiera dziś swego dawnego „odwiecznego wroga."

Wacław Nadolski.

PAMIĘTNIK.

Nieudolność.

Jak wiadomo, jest u nas pewien odłam antisemityzmu, który bardzo chętnie podarowałby wszystkich żydów bar. Hirschowi, gdyby tylko był pewnym, że ktoś ich zastąpi w handlu, do którego my jakoś nie możemy ani wyrobić sobie zdolności, ani nabrać zamiłowania. Z drugiej znowu strony antisemici czystej (właściwie — mętnej) wody utrzymują, że gdyby można usunąć tych niegodziwych szachrajów, prowadzilibyśmy handel nietylko mądry, ale czysty jak łza niemowlęcia, niesplamiony żadnem oszustwem, słowem, idealny. Nie rozstrzygamy tu, czy ma słuszność pierwsza opinia, która „i chciałaby — i boi się," czy druga, która śmiało uderza głową o mur, bo wierzy, że on nie pęknie; stwierdzamy sam fakt, który znowu poparto kilkoma nowymi dowodami. Londyński korespondent *Wieku* pisze: „Na cóż się wam zda orać, siać, zbierać i śliczną pszeniczkę swoją sumiennie oczyszczać i rozgatunkowywać, kiedy tu ona przychodzi: 1) zawsze w paskudnym stanie i 2) zawsze za późno! Komuż państwo właściwie sprzedajecie swe zboża, nasiona, mąkę, konopie itd.? Sprzedajecie takiemu a takiemu cebularzowi, płacącemu tyle, ile gwałtem potrzebujecie, a przedewszystkiem tyle tylko, ile jemu się zdaje, że zapłacić może, aby na was zarobił 10%, a na kimś innym 2½%. Ten ktoś inny, także cebularz, obrabia towar po swojemu, tak, ażeby na nim zarobił 12%, a na następnym kupcu 2%. Następny kupiec, który czasem lubi zjeść pieczeń wieprzową, manipuluje dalej — do Libawy lub Rygi, do Gdańska lub Hamburga — i dobrze na swej robocie wychodzi. W portach zaczyna się i kończy robota najpoważniejsza, urządzenia towaru dla Anglii. Stare to dla państwa dzieje — dla mnie one były nowe z tego powodu, ponieważ: 1) powiedziano mi, że z wywozem z Anglii ma się akurat tak samo i jeszcze gorzej, a 2) zapytano mnie, dlaczego państwo sami nie wywozicie i sami sobie potrzebności swoich nie przywozicie — z zyskiem od 25 do 40% na cenach targowych... nie cebularskich, jeno angielskich?"

A teraz z innej strony to samo. Korespondent *Gazety lubelskiej* z Władywostoku opowiada, że wszędzie w Syberyi spotykał się z „obuwiem warszawskiem," które jest powszechnie pożądane przez nabywców i wystawiane przez kupców. „Słyszałem — pisze on—jak kozaczka usuryjska, wszedłszy do sklepiku, żądała koniecznie „chwarszawskich botinków" i zapłaciła za tandetę, niemającą nic wspólnego nawet z Nalewkami, 8 rs.!" Korespondent zaczął badać tę sprawę i przekonał się, że wszystek prawie towar idzie na rynki tamtejsze z Odesy i Moskwy i ma pochodzić — według stempla — z Warszawy. Ponieważ jest to towar bardzo lichy, więc korespondent przypuszcza, że „Nalewki" albo miasta prowincyonalne wyrabiają tandetę i wysyłają na wschód. „Kto temu winien? — pyta on. Odpowiedzieć łatwo, obserwując ruchliwość i przedsiębiorczość niemców i anglików, którzy nie tak łatwo pozwolą zdyskredytować swój towar, raz już mający swoją markę! A co my, a właściwie co wy, panowie, robicie, aby swój honor rzemieślniczy utrzymać?.. Nadmienić mi jednak wypada, że wziąłem do serca sprawę naszych szewców i dziś już za pośrednictwem mojem jeden z zamożnych kupców chińczyków, p. San-sin-jun, posłał obstalunek dość znaczny do jednej z większych firm warszawskich, prosząc o przysłanie jednocześnie z towarem upoważnienia do reprezentowania firmy. Nie mając wiele swobodnego czasu, zająć się specyalnie agenturą nie mogę, lecz każdemu z naszych kupców bezinteresownie udzielić mogę wszelkiego rodzaju informacyj, ilekroć kto tego zażąda i z przyjemnością z odpowiedzią pospieszę. Czuję się w obowiązku dodać, iż nasi panowie zbyt lekko traktują powierzone im obstalunki, nie troszcząc się bynajmniej o to, jak należy opakować wysyłany towar. Miałem sposobność naocznie się o tem przekonać. Jedna np. z firm rolniczych, przysyłając nasiona do miejsca 13,000 wiorst odległego od Warszawy, wysłała takowe... w papierowem pudełku! Inna znów rękawiczki wprost wysłała owinięte w papier niewoskowany, a trzecia jeszcze się lepiej spisała, wysyłając czekoladę — z mydłami pachnącemi!.. Takie kardynalne omyłki lub lekceważenie — nie do darowania."

W tych smutnych i słusznych uwagach tkwi tak wymowny dowód naszego niedołęztwa, że on je chyba streszcza całkowicie. Możemy się tłomaczyć, że nie stać nas rozumem czy kieszenią na odwożenie własnej pszenicy do Anglii, bo na to potrzeba uzdolnień i środków do wielkiego handlu, których nie posiadamy. Ale sprawę tych nieszczęsnych butów już chyba powinniśmy uregulować. Przedewszystkiem nie chodzi tu o rzecz najtrudniejszą — o zdobycie rynku. Rynek ten bowiem został jakimś cudem zdobyty — obuwie warszawskie zyskało sławę. Korespondent trafnie zaznacza i my tysiąckrotnie o tem się przekonywamy, że gdy niemiec lub anglik znajdzie gdzieś ujście dla swoich towarów, nie pozwoli się z niego wyprzeć i często broni tego stanowiska przez setki lat. Nam sama korzyść wlazła w ręce i my robimy wszystko, ażeby ją stracić. Kwestya ta nie jest świeżą. Już dawno odkryto, że rozmaici spekulanci wysyłali na wschód tandetę, posuwając oszustwo aż do tekturowych podeszew, mimo to silne i energiczne dłonie nie ujęły handlu obuwiem warszawskiem, lecz ciągle pozwalają fuszerce i szwindlowi zniechęcać rynek i zniesławiać dobre imię rzemieślnika warszawskiego. A jeżeli dodamy, że ten rzemieślnik skarży się na brak roboty i zbytu, podczas gdy przy dobrej organizacyi handlu nie mógłby wydołać obstalunkom, to przedstawi nam się obraz potwornego niedołęztwa.

Zachowanie energii.

Zaiste, rzec można, że nic w naturze nie ginie i że siła jest niezniszczalną, patrząc na nowy objaw spekulacyj giełdowych u nas. Wiadomo, że minister finansów zabronił giełdom „obrotów" z rublami, tj. gry na zwyżkę i zniżkę. Można się było spodziewać, że ten duch, który pracował w tylu ciałach od tak dawna i z taką namiętnością, nie zdmuchnie samobójczo swego ognia i postara się rozpalić go gdzieindziej. Nie wolno grać rublami — to trzeba poszukać sobie jakichś innych papierów i wprawić je w szalone pląsy, bo przecie ludzie, żyjący z „różnicy kursu," nie wezmą się do pługa lub warsztatu a zarabiać „muszą." No i wynaleźli sobie

niezakazane pole dla swych operacyj — akcye banków. Od paru tygodni, dzięki zapamiętałej grze, akcye te podnoszą się i spadają w kursie niebywałymi podskokami, wytwarzając tak gorszące położenie na rynku pieniężnym, że aż *Gazeta losowań* wystąpiła z naganą i ostrzeżeniem. Naturalnie ani ten głos, ani jego echo w innych pismach gry nie usuną, bo — jak mówi fizyka — żadna siła nie znika, a w giełdowiczach ma ona bardzo wielkie natężenie. Nie znamy się na subtelnościach i skutkach tego hazardu, a obok napomnień nie znaleźliśmy nigdzie wyjaśnienia jego wpływów na instytucye, których papiery wpadły w wir spekulacyjny. Jeżeli zaś on ogranicza się tylko do ryzyka swych bezpośrednich uczestników — to nie będziemy z rozpaczy rozdzierali sobie szat. Bo co nas to może obchodzić, że kilkudziesięciu lub nawet kilkuset mataczów kark skręci na owych skokach giełdowych? Nad tem, że przegra Szymon a wygra Jakób, nie będziemy płakali. Zarówno nieszczęście pierwszego, jak szczęście drugiego ani nas grzeje, ani ziębi. W rezultacie jest to wszystko jedno, czy hazard posługuje się kartami na zielonym stoliku, czy akcyami banków na giełdzie i przed giełdą. Oba lepsze...

Czy nie za wiele?

Czy nie za wiele wymaga *Gazeta sądowa*, żądając, ażeby pisarze sądów gminnych byli „skończonymi prawnikami"? Wprawdzie nieraz śród kancelistów lub przepisywaczów można w Niemczech spotkać doktorów filozofii, ale my jeszcze nie mamy takiego nadmiaru inteligencyi prawniczej, ażebyśmy nią mogli obsadzać skromne miejsca pisarzów w sądach gminnych. Właściwie nie tyle chodzi tu o brak sił, ile o brak skromności w pragnieniach. Jeżeli u nas lekarz tylko w ostatecznej konieczności decyduje się osiąść na prowincyi, gdzie ma bądź co bądź poważne i niezależne stanowisko, a nawet widoki wielkiego powodzenia, to czyż można się spodziewać, że o źle wynagradzaną, zależną i beznadziejną posadkę pisarza przy sądzie gminnym pokusi się wychowaniec uniwersytetu? Jeżeli się mylimy — tem lepiej. Nie zdaje nam się jednak, ażeby życzenie *Gazety* stało się ciałem nawet w najbliższej przyszłości. Zachodzi tu przytem jeszcze inny wzgląd. Sąd gminny składa się przeważnie z obywateli ziemskich, mieszczan i chłopów, którym impozycya wiedzy pisarza mogłaby bardzo często nie podobać się lub też w wielu wypadkach uczyniłaby go faktycznym redaktorem wyroków wbrew duchowi i założeniom instytucyi. Zaznaczamy tylko ogólnikowo przeszkody, jakie stoją na drodze temu pomysłowi, gdyż mniemamy, że on pozostanie projektem dziennikarskim.

Próba generalna.

E. Lubowski wystąpił w *Kuryerze warszawskim* z obszernym wywodem przeciw zwyczajowi dopuszczania osób obcych i sprawozdawców na t. z. próby generalne (ostatnie) sztuk teatralnych. Uważa on ten zwyczaj za szkodliwy dla tego, że owe próby nastręczają często autorom sposobność do poprawek i ważnych zmian w swych utworach, do ostatecznego wykończenia ich, przyczem nie powinni być obecni świadkowie a zwłaszcza krytycy, którzy często sądzą sztukę w jej stanie niedoskonałym i rozszerzają o niej za pośrednictwem prasy złe opinie. Rozumowanie to nic jest dość przekonywającem. Naprzód usterki sceniczne może autor dostrzedz i usunąć na wielu próbach przygotowawczych, ostatnie zaś ściegi w generalnej zwykle są tak drobne, że niewiele wpłynąć mogą na wartość utworu. Nadto, ponieważ po pierwszem, a nawet drugiem lub trzeciem przedstawieniu autorowie również przerabiają swe dzieła, więc należałoby krytykom zakazać wydawania sądu dopóty, dopóki tekst nowej komedyi lub dramatu nie zostanie ustalony. Według naszego zdania, autorowie teatralni żyją ciągle w dwu złudzeniach: że wyroki prasy rozstrzygają o powodzeniu teatralnem ich utworów i że jakikolwiek środek zdoła utrzymać stałą zgodność między głosem krytyki a głosem publiczności. Wszelkie zgryzoty i projekty reformy w tym względzie uważamy za zmarnowane i niepotrzebne. Że pisarz sceniczny pragnąłby, ażeby jego dzieło ukazało się na jaw w najdoskonalszej postaci, ażeby nikt nie oglądał jego pracy niewykończonej, ażeby sprawozdawcy złożyli się z widzami na harmonijny chór podziwu — jest to bardzo naturalne. Ale czyż ktokolwiek ma zapewnione wszystkie warunki pomyślności! Ileż mechanik odbędzie prób generalnych na widowni publicznej, ile nasłucha się uwag, nagan i szyderstw, zanim swój wynalazek udoskonali! Nikogo los nie pieści, a może najmądrzej — nie żądać od niego pieszczot i nie liczyć na nic.

Na pomnik Chopina.

Towarzystwo Muzyczne, złożywszy sprawę pomnika Chopina na sercu rozmaitych komisyi, budziło w nas nadzieję, że owoców z tego komisyjnego drzewa nie będzie oglądało nasze stulecie. Tymczasem po paru latach zakwitło ono koncertem na rzecz pomnika i zdołało zebrać około 3,000 rs., pomimo że „w programie nie znajdowało się ani jedno nazwisko wielkiego artysty, niezamieszkałego w Warszawie." Sam Chopin zdołał tę szczerbę zapełnić. Do całkowitej sumy, potrzebnej na koszty, brak już tylko 1,000 rs., a tę resztę Towarzystwo spodziewa się osiągnąć z drugiego koncertu, w którym przyjmie udział Paderewski. Znakomity ten artysta, od czasu jak zagranica zabrzmiała jego sławą, nie wystąpił ani razu u nas; przypuszczamy więc, że ściągnie tłumy, dla których będzie musiał przygotować masę chustek i rękawiczek na pamiątki, jeżeli będzie chciał powrócić w całem ubraniu z koncertu do domu. W każdym razie, dziś już można powiedzieć, że pomnik Chopina stanie w Żelazowej Woli.

Dla kogo odczyty popularne — niepopularne?

Czy wiecie, czytelnicy, dla kogo odczyty popularne są niepopularne? — Dla sprawozdawców dziennikarskich! Kto miał sposobność być na pięknym i pożytecznym wykładzie Palmirskiego, a następnie — cierpliwość odczytać niektóre sprawozdania, ten chyba wziął się za głowę ze zgrozy. Ile tam herezyi, niedorzeczności, fałszów nadających się raczej do „kącików humorystycznych"! Recenzenci, nie mogąc się połapać w zbyt mądrej dla siebie treści, a chcąc koniecznie nakreśloną liczbę wierszy „wyrobić," największy nacisk kładą na sposób mówienia, przestanki itd. Nie dziwimy się bajazzom codziennym (wyjątek stanowi sprawozdanie *Kuryera warsz.*, napisane sumiennie i ze zrozumieniem rzeczy); ale znamienne jest współzawodnictwo z nimi jednego ze sprawozdawców poważnego tygodnika: — „Zośka! — Czego chcesz? — odpowiada drzemiąca 15-letnia dziewczynka. — O czem ten pan gada? — Albo ja wiem. — No, to i ja nie wiem, choć nastawiam uszu: mówi ci o jakichś komórkach, o cukrze, o krochmalu, ale nic ci zrozumieć nie mogę, co ten krochmal w tych komórkach robi. — Eh, głupiś, cicho bądź lepiej! Jeżeli sprawozdawca miał czas na podsłuchiwanie takiej rozmowy i na bawienie się w Cumberlandyzm, który mu pozwala wnioskować, że większość w powyższy sposób zrozumiała odczyt, to się nie dziwimy, że, nieborak, sam go zrozumieć nie mógł. Przy odczytywaniu tego rodzaju uwag recenzentów żywo mi się przypomniał pewien jegomość z zaścianka, który pierwszy raz znalazłszy się w kółku ludzi ukształconych i posłyszawszy rozmowę dwu z nich o poważnym przedmiocie, zawołał: „Głupcy jacyś! gadają tak, że zrozumieć nie można"! Ażeby redakcye nie narażały się na śmieszność, proponuję im urządzenie wspólnym kosztem odczytów popularnych dla... sprawozdawców, którzy tą drogą mogliby się przygotować do słuchania przystępnych wykładów publicznych; z czasem doszliby do możności pisywania przyzwoitych recenzyi i mniej może daliby się porywać bladze, ględzącej gładko na temat spirytyzmu i wegeteryanizmu, przed czem dziś głowy swoje skłaniają. —*r*.

Mieszkania do wynajęcia.

Od pierwszego kwietnia znaczna część domów warszawskich upstrzona jest kartami niebieskiemi. Niektóre z nich już w ciągu miesiąca wypłowiały pod działaniem słońca i przez kilka tygodni następnych zapewne jeszcze więcej wypłowieją. Długość czasu figurowania ich na ścianie rośnie w stosunku prostym do wysokości cen. Ci, którzy w roku bieżącym muszą zmienić lokal, poprostu są zdumieni nadzwyczajną drożyzną mieszkań. Zrażeni śródmieściem, wędrują na kraniec, lecz tu znowu zawód. Lokal, złożony z trzech pokojów na trzeciem piętrze — 360 rs. Gdzieindziej cztery pokoje w domu bez wodociągu i kanalizacyi — 700 rs. W tej przymusowej wędrówce łatwo się dowiedzieć, że znaczna liczba osób zmienia mieszkanie z powodu podwyższenia komornego. Cóż to jest? Skąd ta drożyzna? — zapytują gospodarza. „Proszę pana, dom kanalizuję"; albo: „podatek muszę płacić od własnego mieszkania." Podatek ten wyniesie rubli kilkanaście, a na jego pokrycie właściciel zbierze kilka setek z podwyżki komornego. Dobry interes! Ale w takim razie równa jest racya podnieść ceny, gdy gospodarz chce sobie sprawić karetę, nowe meble albo pojechać za granicę. Tak się też w rzeczywistości dzieje, tylko że właściciele nie uważają tych powodów za przekonywające wobec lokatorów. Ktoś z doświadczonych, mogący obchodzić jubileusz 25-ej zmiany mieszkania, radził mi: Unikaj pan domów administrowanych! — Dlaczego? — Bo tam największe zdzierstwo. W administracyę, czyli dzierżawę, oddawane są domy zadłużone i opuszczone, wymagające kosztownych poprawek. Chcąc je doprowadzić do należytego stanu i z długów oczyścić, administrator stara się możliwie wycisnąć lokatorów i jak najmniej udogodnień im uczynić. Tego rodzaju wskazówki mogą być bardzo cenne dla mieszkańców miasta. *Z.*

Cudzym kosztem.

„Na posiedzeniu Towarzystwa ogrodniczego właściwy referent, zapewne przez pośpiech, zaznaczył, że jeden z członków ofiarował dla biblioteki Towarzystwa dzieło Brehma „Życie zwierząt" w *dwudziestu czterech tomach*. *Wszystkie* pisma powtórzyły tę wiadomość. Aby błąd nie dostał się i do pism... tygodniowych, zwracamy uwagę, że wszechświatowej sławy używające dzieło Brehma, "Thiers Leben," napisane jest w grubych, ale dziesięciu tomach. Towarzystwo otrzymało rzeczywiście 24 tomy, ale prócz Brehma była tam i „Encyklopedya historyi naturalnej" (dział zoologiczny) w języku francuskim." W taki sposób *Kuryer warszawski*, pośliznąwszy się, broni swego honoru. Żeby wszakże ciężar był lżejszym, rozkłada go na barki innych zupełnie niezasłużenie. *Wszystkie* pisma, jako żywo, nie powtórzyły tego bąka, a tem bardziej tygodniowe nie zamieściłyby go, nawet bez sprostowania, które *Kuryer* uczynił wyłącznie dla ich dobra. Nie po raz pierwszy spostrzegamy takie oczyszczanie się z grzechów cudzym kosztem. Wszelki swój gruby błąd dziennik powyższy prostuje w ten sposób: „*pisma* podały

mylną wiadomość" itd. Chyba już przyciśnięty do muru postronnem żądaniem poprawki, tłomaczy się: „Jestem winien, ale przy tem mam taką powagę, że jak za panią matką inni powtarzają, com rzekł. Niechże przynajmniej ta reszta zna moją dobroć. Nie jesteśmy erudytami." Oj tak!..

—z.—

W DALI.

Miasto i wieś. Wzajemne ciążenie tych siedlisk ludzkich i wzajemne wchłanianie żywiołów zaczyna się budzić już w chwili obecnej, a tem więcej zasługuje na uwagę, że widzimy ruch dotąd niebywały u nas. Mieszkania letnie w kilkomilowym promieniu Warszawy są już w znacznej większości wynajęte i to po cenach wyższych, aniżeli w latach poprzednich. Ludzie, wyczerpani gorączką całoroczną w środowisku życia, pełnego znoju i nienormalności, nie targują się zbyt uporczywie, a gdy zabrakło im miejsca na wydmach piaszczystych śród zarośli karłowatych, w chałupach rozpadających się i klateczkach ciasnych, z desek zbitych, zapuszczają się dalej w głąb kraju i tam poszukują wytchnienia śród ciszy. Dla tych, którzy przez kilka tygodni skwarnych mogą się obyć bez rozkoszy miejskich, którzy nie potrzebtją dnia spędzać w mieście, a nocy na wsi lub odwrotnie — odsuwanie się jak najdalej od bruku i murów będzie prawdziwą korzyścią zdrowotną i materyalną. Pierwsza da istotnie świeże powietrze, wieś w całej pełni, druga — znacznie tańsze produkty spożywcze. Dziś bowiem, szczególnie w sezonie wakacyjnym, wszelkie najważniejsze przedmioty strawy w obrębie siedzib letnich kosztują tyleż, co w Warszawie, a nawet drożej, gdyż najlepsze gatunki idą na rynki miejskie, gdzie zwykle jest wybór dostateczny; dla zgłodniałych zaś letników zostają resztki, chciwie rozszarpywane. Przekupnie są panami położenia i wyzyskują o ile się da wchłaniaczy „świeżego" powietrza. Dzieje się to nietylko w okolicy Warszawy, ale i innych wielkich miast: włościanki nieraz wolą iść parę mil, stracić dzień cały na bruku, niż sprzedać towar na miejscu. To też trudno letnikom dostać nietylko nabiału, drobiu, ale nawet grzybów i jagód. Znam fakty kupowania kurcząt, jaj, serów, masła i grzybów na rynkach miejskich i przywożenia do siedzib letnich. Wobec tego poszukiwanie wytchnienia jak najdalej od miasta i jego wszelkich przyjemności uznać trzeba za objaw bardzo pocieszający.

Są dwie kategorye mieszczuchów: jedni się bawią w wakacye wiejskie, drudzy — szukają ich dla prawdziwego wytchnienia i naprawy zdrowia. Dla tych ostatnich nie powinna być obojętną następująca wiadomość: Niedawno — jak donosi *Kuryer warszawski* — ułożono projekt kontraktu notaryalnego nowej spółki budowania domów letniczych i sprzedaży ich na raty. Miejscem nowych siedzib będą podnóża gór Świętokrzyskich nad rzeką Kamienną między stacyami Wierzbniki i Kunów kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej, śród lasów. W pierwszym roku ma stanąć 12 domów drewnianych na podmurowaniach i tyleż budowli gospodarczych. Każda willa ma się składać z czterech pokojów, kuchni, dwóch werend i wirydarza z wieżyczką o dwóch małych pokojach. Domy staną w dwu szeregach, oparkanione małymi, oddzielnymi ogródkami; do wspólnego zaś użytku będzie las 40-morgowy, na park zamieniony. Spółka rozporządza kapitałem 100,000 rs.; udziały wypłacane ratami. Taką ma być „Letnia Warszawa"! Jeżeli się do niej nie wkradnie spekulacya z całym szeregiem szkaradnych następst, to nowe źródło powietrza i wytchnienia istotną korzyść przyniesie ogółowi.

Jednocześnie z powyższym faktem błąkają się po pismach wiadomości o nowych stacyach klimatycznych, o pensyonatach wiejskich dla średnio zamożnej młodzieży szkolnej. Z nowym ruchem projektowym i praktycznym w zakresie siedzib letnich pozostaje w związku skłonność zarządów kolejowych do ustępstw dla podróżnych w czasie wakacyjnym. Przedsiębiorstwa komunikacyjne powinny we własnym interesie poczynić możliwe ulgi i udogodnienia dla sezonowych mieszkańców wiejskich.

Innym objawem, zasługującym na zaznaczenie, są coraz częstsze fakty wycieczek zbiorowych po kraju. Nie pozostaną one również bez wpływu dodatniego na odświeżenie sił fizycznych i umysłowych i gdyby ten sport szerzej się rozwinął, możeby mniej uczęszczane były wszelkie Wójtówki i Saskie Kępy, w których licha jadłodajnia za noc jedną uczestnikowi „zabawy" większą szczerbę uczyni w kalecie, aniżeli nawet parotygodniowa podróż po kraju. Ale obok tej gwałtownej chęci użycia wsi, mieszkańcy miejscy boją się pozostania na jej łonie dłużej, niż przez parę tygodni. Sama myśl, ażeby tam osiąść na stałe, przeraża nawet tych, którzy nie mają szans produkcyjnej pracy w mieście. Stąd uporczywa cisza na owo ciągłe wołanie zaścianka przez ogłoszenia — o pomoc lekarską i adwokacką.

Inny prąd w chwili obecnej zaczyna płynąć w stronę odwrotną: żywioł wiejski do miasta. Ruch budowlany, roboty kanalizacyjne i brukarskie ściągają setki robotników, zdolnych i niezdolnych. Niedawno czytaliśmy w pismach, iż jeden tylko pośrednik otrzymał zamówienie na 650 robotników płci obojga. (Werbowani są przeważnie z gub. lubelskiej i łomżyńskiej). Można więc przypuścić, iż z owych trzech kategoryj, związanych z sobą wspólnym interesem, najwięcej zyskują — pośrednicy. *Drogomir.*

Łódź. Miejscowy zarząd Towarzystwa dobroczynności przystępuje już do budowy przytułku dla starców i kalek. Zebrano dotąd na ten cel około 110,000 rs. Zabiegi tego samego Towarzystwa w sprawie uzupełnienia i rozszerzenia ustawy dały pomyślne rezultaty; ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło statut zmieniony. — W połowie ubiegłego miesiąca odbyło się zebranie ogólne członków Towarzystwa kredytowego miejskiego. Projekt etatu na r. 1893/4 przewiduje dochodu rs. 69,649, wydatków rs. 36,796. Przewyżka dochodów nad wydatkami (32,852) powiększy kapitał zasobowy. Upoważniono dyrekcyę do wydania rs. 3,000 na budowę powyższego przytułku dla starców i kalek. Na dyrektora Towarzystwa wybrano p. Finslera, na jego zastępcę p. Rosenblata. — Nowa organizacya policyi miejskiej w Łodzi wprowadzona będzie 13 lipca r. b. — W ministeryum sprawiedliwości poruszono sprawę utworzenia tu jeszcze dwu nowych rewirów sędziów pokoju. — Miejscowy Bank handlowy wyznaczył dywidendę za r. z. w stosunku 12%. — W sferze zamożnych przemysłowców i obywateli łódzkich żywo jest obecnie traktowana sprawa drugiego gimnazyum męzkiego. Pierwsze powstało dzięki ofiarności Karola Scheiblera; drugie przy poparciu kilkunastu kapitalistów niewątpliwie powstanie również, tem bardziej, że i ofiarodawcy tutaj w znacznej mierze będą zapewne zainteresowani. — Miejscowe kółko budowniczych stara się o utworzenie własnej sekcyi przy łódzkim oddz. Tow. pop. rusk. przem. i handlu. — Piotrkowski rząd gubernialny polecił magistratowi łódzkiemu zbadać, czy pożyteczniejszym dla miasta będzie tramwaj elektryczny, czy też konny.

Wilno. Ogólne zajęcie budzi sprawa pomiędzy hr. Augustem Potockim a spadkobiercami ks. Wilhelma Radziwiłła. W r. 1860 ten ostatni, zamieszkały w Paryżu, aktem notaryalnym zapisał swojej małżonce, ks. Zofii Radziwiłłowej, 400,000 fr. z zastrzeżeniem następującem: „Pieniądze mają być wypłacone księżnej w przeciągu dwu lat od chwili śmierci testatora. Do czasu podniesienia tej sumy księżna ma pobierać procenty w stosunku 5%." Książę zmarł 1863 r., wdowa zaś cedowała swoje prawa do zapisu na rzecz hr. Augusta Potockiego, spokrewnionego z jej mężem, ale opieka nie wypłaciła mu sumy powyższej. Wobec tego skierował sprawę do sądu okręgowego w Mińsku. (Dobra po Radziwille, Annopol, leżą w gub. mińskiej). Sąd atoli oddalił powództwo i skazał hr. P. na koszty. Wtedy hr. P. apelował do izby sądowej wileńskiej, ta zaś uznała za konieczne porozumieć się z rządem francuskim za pośrednictwem ministeryum spraw zagranicznych. Dane potrzebne nadeszły do Wilna przed paru tygodniami, sprawę więc wyznaczono na 24 b m. Interesy obu stron popierają cywiliści warszawscy: adw. przys. Ludwik Marczewski i Kazimierz Paszkowicz. Pierwszy przemawia za hr. P., drugi w imieniu spadkobierców ks. Radziwiłła. Powód powierzył ogólny kierunek sprawy adw. Edw. Grodzieńskiemu.

Moskwa. Główny akcyonaryusz azowsko-dońskiego Banku handlowego (posiadającego oddział w Warszawie), p. Poljakow, sprzedał swoje akcye (8,000 sztuk po kursie 490) grupie kapitalistów moskiewskich i petersburskich. Z tego powodu spodziewane są wkrótce zmiany w Banku. Podnosi on swój kapitał zakładowy o milion rubli i jednocześnie kapitał rezerwowy o 330,000 rs. — W r. b. sieć kolei skarbowych powiększyła się znacznie skutkiem przyłączenia nowych linij: Orłowsko - Witebsbiej, Ryzko-Dźwińskiej i Mitawskiej. Właściciele pierwszej zadłużyli się skarbowi przeszło na 37 milionów rubli, gdy całość kapitału akcyjnego nie przewyższa 9 mil.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Przy projektowanym powszechnym spisie ludności postanowiono oddzielną rubrykę utworzyć obłąkanych i dotkniętych rozstrojem psychicznym.

— Pewna grupa ludzi z Chicago rozesłała odezwę do rządów całego świata o stworzenie sądu polubownego, któryby rozstrzygał wszelkie sprawy międzynarodowe.

— W sferach właściwych zwrócono uwagę na konieczność powiększenia personelu weterynaryjnego w guberniach południowo-zachodnich.

Koleje i komunikacye. *Peterb. Wied.* donoszą, iż w początkach b. m. rozpoczną się prace przygotowawcze około urzeczywistnienia projektu uregulowania spławu na Dniestrze.

— Postanowiono wybudować łącznicę kolejową długości około trzech wiorst pomiędzy przystankiem kolei Nadwiślańskiej Wawer a przystankiem drogi Terespolskiej Rembertów.

Zdrowie publiczne. Z powodu zjawienia się cholery w osadzie Przytyk (gub. radomska), urzędownie ogłoszono pow. radomski za dotknięty epidemią.

— Skutkiem zjawienia się cholery w miejscowościach pogranicznych Austryi w sąsiedztwie gub. podolskiej, z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych otwarto punkty sanitarne: w Isakowicach Husiatynie, Hukowie i Szatanowie.

Mianowania. Policmajster I oddziału m. Moskwy, pułkownik Gresser, mianowany został na pomocnika oberpolicmajstra m. Warszawy.

— Zarządzający ministeryum sprawiedliwości, Murawjew, został mianowany na ministra.

Zmarli. Sacher-Masoch, w Lindheim; głośny autor, odznaczający się zanadto bujną fantazyą. Pisywał romanse i utwory sceniczne, pamflety.

Odpowiedzi Redakcyi.

Jednej z czytających. Bezimiennych zażaleń nie uwzględniamy. Co do przedmiotu skargi, jeśli w tej czytelni panuje taki bezład i gwar, niech Pani do niej nie uczęszcza.

Pani Nat. R. w B. Tego rodzaju pobieżne notatki w sprawach ważnych nie nadają się do naszego pisma.

— Powodzenie zobowiązuje, pobudza i zachęca do nieustawania w spełnianiu uczynków miłosierdzia publicznego. Rok miniony odpowiedział pod każdym względem nadziejom grona osób zajmujących się urządzaniem kolonii letnich dla słabowitych dzieci ubogiej ludności miasta Warszawy; z dobrodziejstw świeżego powietrza korzystało 1368 dzieci.

Obecnie po przeprowadzeniu troskliwego badania lekarskiego uznano, iż z liczby kilku tysięcy dzieci zapisanych, najmniej 1800 bezwarunkowo wysłać wypadnie na pobyt wiejski. Grono kolonii letnich otrzymawszy pozwolenie p. o. JW. Pana Generał-Gubernatora z dnia 5/17 kwietnia b. r. za N. 3668, za przykładem lat poprzednich odzywa się gorąco do ofiarności publicznej, w tem głębokiem przekonaniu, że ludzie zamożniejsi ręki szlachetnej uchylić nie zechcą od popierania instytucyi, która z drobnych zawiązków tak bujnie rozwinąć się potrafiła, dzięki czynnemu współdziałaniu ludzi dobrej woli, nieobojętnych na niedolę bliźnich naszych.

Ofiary, o ile możności przed początkiem czerwca, składać należy na ręce skarbnika, dyrektora Aleksandra Czajewicza w Dyrekcyi Towarzystwa kredytowego m. Warszawy (Włodzimierska 21).

Do przyjmowania ofiar upoważnione są również osoby niżej wymienione oraz Redakcye pism peryodycznych.

Emilia Brzezińska, Irena Karłowiczowa, Marya Krzycka, Leonia Natansonowa, Jadwiga Pawińska, Aleksander Czajewicz, Henryk Konic, Henryk Lubowski, Adolf Pawiński, Władysław Serafinowicz, Władysław Skłodowski, Juljan Adolf Święcicki, Leon Tannenbaum, Julian Wieniawski.

Przewodniczący *St. Markiewicz.*

STUDENT

Uniwersytetu, prawnik wyższego kursu, poszukuje na czas od 15 czerwca do 15 października kondycyi albo zajęcia w biurze lub też w jakiemkolwiekbądź przedsiębiorstwie w Królestwie, Cesarstwie, Galicyi, Poznańskiem.

Warszawa, Ordynacka 12, m. 22. St. B.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA „PRAWDY."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.
Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.
L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologi — rs. 3.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.
E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskej — rs. 3.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.
W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.
— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — kop. 50.
— **Niewinni**, dramat w trzech aktach — kop. 80.
Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.
N. Hirszband. **Byron** w urywkach, kop. 50.
Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.
K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.
E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.
M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa — rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Spółka Nakładowa

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.
— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.
Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.
— Prewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.
Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.
Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.
Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej Warszawa, Żórawia 34.**

WYSZŁA Z DRUKU KSIĄŻKA
L. Krzywickiego

LUDY

str. 432. Cena rs. **2 k. 50**, z przesyłką pocztową rs. **2 k. 80.** Nabyć można w Administracyi *Prawdy* oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Nakładem naszym wyszła
PSYCHOLOGIA DZIECKA
Dr. med. L. Wolberga.
Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

Bracia Jabłkowscy
Hoża Nr. 14,
Płótna bulgarskie, Batysty, Satyny, Kretony, Towary białe pończosznicze.
Specyalność:
Korty, Szewioty, Draps de dames.

Zakład Leczniczy „NAŁĘCZÓW"

5 godzin od Warszawy, 1 godz. od Lublina, 20 minut od stacyi Nałęczów dr. Nadwiślańskiej

Apteka, Poczta i telegraf na miejscu. — Omnibusy i powozy na pociągi pocztowe.

w miejscowości malowniczej i zdrowej, na plaskowzgórzu Lubelskiem, 210 metrów nad powierzchnią morza.

Zakład hydropatyczny **cały rok otwarty. Kąpiele żelaziste, borowinowe, kumys, gimnastyka lecznicza od 1 czerwca do połowy października.**

W Nałęczowie leczą się skutecznie **choroby nerwowe, katary żołądka i kiszek, choroby kobiece, osłabienia płciowe,** otyłość, niedokrwistość, katary dróg oddechowych itp.

Stale cały rok ordynują: dyrektor zakładu **Dr Chmielewski** i jego pomocnik **Dr Sasewicz.** Od czerwca do końca września oprócz stałych lekarzy ordynować będą: **D-rzy Chełchowski, Doliński, Puławski i Rembieliński.**

Wszelkich objaśnień udziela administracya Zakładu.

Istniejąca od 1852 roku w Warszawie

Parowa Fabryka Perfum, Mydeł toaletowych i Kosmetyków

FRYDERYKA PULS

Sprzedaż hurtowa i detaliczna w Składzie Głównym, Plac Teatralny Nr. 11.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Ценаурою, Варшава 22 Апрѣля 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.